Ojciec odchodzi

Korporacja Ha!art
http://www.ha.art.pl/

Piotr Czerski, *Ojciec odchodzi*
Kraków 2006

Wydanie I

Printed in Poland

ISBN 83-89911-38-8

Projekt okładki: Anna Ostoya

Ilustracje w tekście: Anna Okrasko (z cyklu „Znicze dla Ojca Świętego")

Redakcja: Tomasz Charnas, Kinga Surówka, Piotr Marecki

Strona internetowa książki:
http://www.ha.art.pl/ojciec/
Strona internetowa autora:
http://www.piotrczerski.art.pl/

Wydawnictwo i księgarnia:
Korporacja Ha!art
pl. Szczepański 3a, 31-011 Kraków
tel. +48 (12) 4228198, 0606303850
mail: korporacja@ha.art.pl
http://www.ha.art.pl/

Główny dystrybutor:
Espace
ul. Kolejowa 15/17, 00-325 Warszawa
tel. +48 (22) 6316637, +48 (22) 6320468

Piotr Czerski

Ojciec odchodzi

Kraków 2006

1

To wszystko zaczyna się na dzień przed moimi dwudziestymi czwartymi urodzinami. Jest więc trzydziesty pierwszy marca dwa tysiące piątego roku; wieczór jest, a my stoimy w Gdyni, w zaułku pomiędzy dwiema ruchliwymi ulicami, tuż obok Arkadii, i pijemy wódkę. Arkadia to taka knajpa, którą odkryliśmy niedawno – podobno za komuny był to lokal prima sort, tak przynajmniej twierdzi moja matka. Od tego czasu zupełnie nic się nie zmieniło. W środku. W związku z czym nie jest to już lokal prima sort, ale raczej wzruszający skansen. Obecnie jest taka ogólna tendencja, Peerel jest w modzie, radykalni intelektualiści wzdychają mniej lub bardziej dyskretnie za czasami wymuszonego braku konsumpcji,

a młodzież kolekcjonuje różne rekwizyty: kredki, zeszyty, krawaty, partyjne odznaki. I pije wódkę zagryzaną ogórkami na specjalnych imprezach, na których didżeje w strojach z epoki puszczają zremiksowane wiązanki pieśni z Kraju Rad. W Warszawie powstał nawet specjalny klub stylizowany na peerelowską knajpę – zresztą być może nie w Warszawie, ale w Poznaniu, nie klub, ale dyskoteka i nie na knajpę, ale na dansing. Czytałem o tym gdzieś dawno i mogło mi się pomylić. Chociaż podejrzewam, że w Warszawie, zdecydowanie w Warszawie. Tymczasem jednak jesteśmy w Gdyni, nieopodal Arkadii, która nie jest żadną stylizowaną popierdółką, ale autentyczną peerelowską knajpą, podzieloną na część dansingową, ze striptizem w czwartki, oraz piwiarnię – bez striptizu, za to z darmowym chlebem i smalcem. Pomiędzy jednym i drugim światem jest wspólna toaleta, do której prowadzą strome schody, pokryte czerwonym chodnikiem, brudniejszym na każdym kolejnym stopniu – na dole zaś, przy oklejonym imitacją drewna sklejkowym stoliku model siedemdziesiąt sześć, siedzi pani Jadzia w niebieskim sweterku, rozwiązując krzyżówki i monotonnym głosem przypominając schodzącym: *Toaleta płatna, pięćdziesiąt groszy proszę.*

I wszyscy płacą bez szemrania, licealiści, studenci i robotnicy stoczniowi – nikt inny w Arkadii nie bywa.

Stoimy więc wieczorem w Gdyni, w zaułku, i pijemy moją urodzinową wódkę. My, to znaczy Ola, która jest moją dziewczyną – od niedawna zresztą, poznałem ją chyba przed tygodniem – i Andrzej, przyjaciel z czasów licealnych jeszcze, który nerwowo spogląda na zegarek, bo za pięć ósma musi odebrać z dworca Olgę. Olga mieszka w Łodzi i jest Żydówką, a właściwie – nie jest. Byłaby Żydówką, gdyby jej matka była Żydówką, ale nie jest; Żydem jest za to ojciec Olgi – więc Olga tak naprawdę nie jest żadną Żydówką. A jednak jest, skoro działa w młodzieżowych organizacjach żydowskich. Zresztą podobno prawie wszyscy młodzi Żydzi w Polsce to tacy Żydzi po ojcu, dziadku albo kolegach ze szkoły, bo co zrobić, kiedy innych nie ma? Obok Oli stoi więc Andrzej, a dalej Kacper i Bartosz, z którymi studiuję filozofię, Wojciech, który od trzech godzin powtarza, że musi się spieszyć, bo matura za pasem, a jeszcze nie zaczął się uczyć, i Michał. Michał kiedyś chodził do jednej klasy z Wojciechem, ale teraz mieszka

w Luksemburgu, bo jego ojciec pracuje w jakiejś europejskiej instytucji, w której ma odpowiedzialne stanowisko i doskonale zarabia. Wobec czego cała rodzina przeniosła się tam, do Europy, a tutaj zostało bardzo ładne mieszkanie, do którego Michał przyjeżdża kilka razy do roku. I jeszcze ja stoję, pomiędzy Olą i Michałem, i rozlewam wódkę do plastikowych kubeczków, myśląc o tym, że jest mi ciepło i dobrze, chociaż jutro rano mam pociąg do Krakowa, do którego jadę na trzymiesięczne stypendium, i że nie zdążyłem się nawet spakować, bo przez ostatni tydzień desperacko próbowałem pokończyć wszystkie sprawy, w które jestem uwikłany, i że całe to miotanie na nic się zdało, bo kiedy robi się równocześnie pięć rzeczy, to nie robi się żadnej, i że jest już niemal ósma, ja tutaj pijany, przed północą nie wrócę, więc kiedy się wreszcie spakować, a kiedy się wyspać, i że miałem jeszcze zadzwonić tam i tam, i tam, i że to wszystko już od dawna dzieje się o wiele zbyt szybko. I wtedy ktoś nagle pyta: *Jak myślicie, papież tym razem naprawdę umiera, co?*

Tym razem tak, tym razem naprawdę umiera – odpowiadam niespodziewanie dla samego

siebie. Nie zastanawiałem się nad tym wcześniej. Tak naprawdę nie zastanawiałem się nad tym, choć przecież niejeden raz zdarzało mi się mówić: *Myślę, że dni Jana Pawła II są policzone i jest ich niewiele*; albo: *Ciekaw jestem, jak polski kościół przetrwa śmierć papieża*, albo coś podobnego, co zazwyczaj mówi się, siedząc przy piwie z Andrzejem albo Piotrem – tym, który wykłada fizykę na uniwersytecie, czy z Pawłem, który skończył polonistykę, ale pracuje jako programista, albo z Kacprem, Bartoszem, Basią-dziennikarką, Szymonem-poetą. Coś, co mówi się, kiedy rozmowa o cenach mieszkań i warunkach kredytowania jest już za nami, a na partyzanckie opowieści o kozackich czasach nie nadeszła jeszcze właściwa pora. No więc śmierć papieża jest już od dawna przesądzona i obgadana, panuje co do niej powszechna zgoda, znane są nawet konsekwencje: że Rydzyk, że episkopat, że poważne napięcia, że widmo schizmy – a jednak pytanie: *czy tym razem papież już umrze?*, brzmi jak nowe pytanie, jak pytanie o rzecz zupełnie nową. Może to przez *tym razem*, bo zawsze mówiło się tylko *umrze*, a nigdy *umiera*, a może przez tę wódkę. Tak czy inaczej swój głos słyszę z boku, jak gdybym to nie ja powiedział: *Tak, tym razem naprawdę umiera*, ale kto

inny – ale nikt inny nie mógł tego powiedzieć, bo cisza zapadła i w tej ciszy dźwięczy tylko: *umiera, tak, tym razem umiera* i ten dźwięk ślizga się po murach, pełza po chodniku. Niezgrabnie rozlewam resztkę wódki: *No to ten* – mówię. *No to ten, no!* – unosząc kubeczek w górę, a później Andrzej idzie na dworzec, Wojciech, Bartosz i Kacper na przystanek autobusowy, a Michał, Ola i ja do klubu na koncert.

W środku jest gorąco, zbyt gorąco, zdecydowanie zbyt gorąco; z trudem znajdujemy jakieś miejsce, zresztą niedaleko drzwi. Stoję więc i patrzę na scenę, przyciskając Olę ramieniem do siebie, i nagle coś kapie mi na ramię, i po chwili znowu, a później na głowę. Spoglądam do góry i widzę, że sufit błyszczy od potu, który skrapla się i opada, krążąc w zamkniętym obiegu pomiędzy ciałami. Ile tu osób może się pomieścić, w tym klubie? Trzysta, czterysta najwyżej, a wpuścili jakieś pół tysiąca, jeżeli nie więcej. Człowiek przy człowieku, rozżarzona końcówka mojego papierosa krąży niebezpiecznie blisko głowy faceta z dredami, który stoi przede mną, a o mój łokieć uderza nieustannie dziewczyna, podrygująca śmiesznie obok, z zamkniętymi

NAJDROŻSZY KWIECIE ŚW
IATA TEGO

~AGUNIA

MIEJMY NADZIEJĘ, ŻE SPOT
KA BOGA!

~FILBUJ

INNY WYMIAR
POWODZENIA W NOWYCH
WYMIARACH

ARTUR

oczami wyśpiewująca teksty razem z wokalistą. Kiedy Michał przeciska się z następnymi piwami, tracę równowagę; w ostatniej chwili udaje mi się przekręcić, przenieść ciężar ciała na drugą nogę – gdyby nie to, pewnie upadłbym tutaj, a padając, pociągnął kogoś za sobą i już po chwili leżelibyśmy wszyscy, groteskowo poruszając rękami i nogami jak przewrócone na plecy żuki. Widziałem coś takiego niejeden raz: kiedy w takim tłumie jeden upada i padając przewraca drugiego i trzeciego – wtedy tworzy się błyskawicznie rozprzestrzeniający się wir, który wciąga ludzi; ich głowy nagle znikają z pola widzenia i, zanim ktokolwiek zdąży się zorientować, sam też już leży na ziemi, przygnieciony przez jednych, a przygniatający innych. I leży się, tak jak zboże przyciśnięte nagłym podmuchem wiatru, i każdy próbuje znaleźć jakiś punkt oparcia, i każdy każdemu przeszkadza, i dopiero kiedy ktoś nadludzkim wysiłkiem poderwie się, wstanie i poda rękę innym, dopiero wtedy można się podnieść, otrzepać, rozmasować wywichnięte kolano, rozetrzeć guza, odetchnąć.

Andrzej z Olgą przychodzą, kiedy kończymy drugie piwo tutaj, a – które właściwie? pią-

te? może szóste? – tej nocy. Jesteśmy już u góry, uciekliśmy z tego ścisku na dole. Tutaj słychać niewiele, ale za to jest choć odrobina powietrza. I bar. *Cześć, Olga!* – krzyczę i obejmuję ją, bo zawsze, kiedy jestem pijany, staję się rzewny i wylewny. *Cześć, cześć* – mówi. *Słuchajcie, powiedzcie mi, bo ja parę godzin jechałam, ktoś wie, co z papieżem?* Michał odpowiada: *Nie wiem, nie widziałem go dzisiaj* – ale nikt się nie śmieje. *Umiera* – mówię – *ale chyba jeszcze żyje. Gdyby umarł, pewnie dostałbym esemesa albo coś. Zresztą, poczekaj.* Odwracam się do jakiejś dziewczyny, która stoi niedaleko: *Przepraszam, wiesz może, co z papieżem?* Patrzy na mnie, jak gdyby nie zrozumiała pytania: *Nie wiem, a co ma być?* A ja jej *nie wiem* powtarzam Oldze, chociaż pewnie niepotrzebnie. Zresztą nie wiadomo, nawet tutaj jest na tyle głośno, że trudno usłyszeć własne myśli, że własne myśli giną gdzieś w szumie. A potem obejmuję Olę, która odwraca głowę, uśmiecha się i całuje mnie w usta. I chyba zasypiam.

O północy rzygam koło hali targowej. Nie wiem, gdzie są wszyscy, nie pamiętam, skąd się tu wziąłem. Zawsze się tak mówi: *nie pamiętam, skąd się tu wziąłem*, ale nie pamiętam naprawdę,

mam tylko strzępy wspomnień, że wyszedłem, że mijałem jakiś przystanek autobusowy, że z kimś rozmawiałem. A teraz boli mnie gardło i nos, w środku, nieznośnie, aż pulsuje w skroniach. Opieram się o ścianę i rozglądam – gdzieś daleko przejeżdża samochód, poza tym na całej ulicy nie ma nikogo. *Znowu, znowu* – myślę – *znowu*. Dworzec jest gdzieś tam, na prawo; mógłbym iść przez targowisko, ale wolę dookoła. Targowisko o tej porze jest labiryntem ciasnych uliczek, przez które musiałbym przechodzić, stąpając na palcach i uważnie nasłuchując odgłosów – nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi za najbliższym zakrętem: może na patrol policji, który będzie chciał odwieźć mnie na izbę, a może na kogoś gorszego. Zbieram siły i odrywam się od ściany, a zaraz potem jestem już na peronie, wieje zimny wiatr, oddycham głęboko, żeby zwalczyć powracające mdłości; z podziemnego przejścia wychodzi Michał z Olą. *Gdzieś ty był?* – pyta Ola. *Szukaliśmy cię przez całą drogę, bałam się, że gdzieś tam zasnąłeś. Idioto.* Patrzę na nią i staram się, żeby to spojrzenie było niemym wyrzutem. Że niby trzeba było uważać wcześniej. I że wracała sobie z Michałem. I ciekawe, co jeszcze robiła z Michałem. Teraz nie jestem już rzewny i wylewny, teraz

jestem tkliwy, jak otwarty ząb. I rozluźniam się dopiero, kiedy siedzimy w ostatniej otwartej kawiarni, a ona chusteczką wyciera jakąś smugę na mojej kurtce. Jest wpół do drugiej, następna kolejka do domu – kiedy? – za godzinę chyba, chociaż dzisiaj dzień powszedni, więc może za dwie. Barman wychyla się i mówi przepraszającym tonem: *Proszę państwa, za chwilę zamykamy*, więc: *Michał, jedziemy do ciebie, dobra?* – pytam. *Jasne* – odpowiada bez cienia entuzjazmu. *Starzy mnie zabiją za ten numer* – mówi Ola, ale bez przekonania. Zresztą wszystko mi jedno.

Ojciec Święty Jan Paweł Drugi ma wysoką gorączkę wywołaną przez infekcję układu moczowego – poinformował rzecznik Watykanu Żakłinnawarrowals – to radio w taksówce. *Papieżowi podano antybiotyki i znajduje się on pod stałą opieką watykańskiej ekipy medycznej. Według niektórych źródeł, organizm Papieża reaguje dobrze na antybiotyki, ale dziennikarze włoskiej telewizji Rajuno, powołując się na dobrze poinformowane osoby, twierdzą, że z papieżem jest – cytuję – źle, bardzo źle. Radio Emka – tylko największe przeboje. Minęła godzina druga. Zostańcie z nami.* I po chwili: *Trudno tak razem być nam ze sobą… bez siebie, bez siebie nie jest lżej…* – to Krawczyk informuje, że nie-

lekko mu z Bartosiewicz, a ona nie pozostaje mu dłużna. Za oknami migają domy i skrzyżowania, zlewające się w długą, świetlistą smugę. Tutaj, w Gdyni, jest inaczej. Inaczej niż w innych miastach, a może po prostu inaczej, bez dookreślenia. Wszystko jest daleko, wszystko jest gdzie indziej – z jednego miejsca na drugie jedzie się w nocy taksówką przez długie, ciągnące się w nieskończoność minuty, samochód kluczy pomiędzy blokowiskami, czasem wyrywa się na otwarte przestrzenie, a czasem wpada między parterowe domki, które kończą się nagle i bez ostrzeżenia, gdy po obu stronach szosy wyrasta niepostrzeżenie las. A za lasem jest kolejne blokowisko i następne domki. *Ile płacę?* – pytam, kiedy dociera do mnie, że silnik zgasł i dojechaliśmy na miejsce. Grzebię w kieszeni, wyciągam jakieś pomięte dziesięciozłotówki i brzęczące drobniaki, Michał też coś dorzuca, taksówkarz oddaje nam monety, przy wychodzeniu potykam się, oślepiony światłami: jesteśmy na stacji benzynowej. *Kupimy jeszcze po browarze, co?* – pyta Michał, a ja mówię: *Jasne, spoko.* Więc kupujemy dwie puszki, w czasie kiedy Ola, zatykając jedno ucho, tłumaczy matce, że jest z Pauliną, i że właśnie wynikła, wyniknęła właśnie taka przykra sytuacja, że zostawił ją chłopak; znaczy

– Paulinę zostawił, więc koniecznie musi dzisiaj u niej nocować, bo jako przyjaciółka po prostu nie może opuścić Pauliny w tym historycznym, dramatycznym momencie dziejowym, po prostu świnią byłaby, gdyby – wobec czego po prostu będzie w domu rano, a właściwie o trzynastej, bo rano musi być jeszcze w szkole, żeby zaliczyć geografię, do której – tak! – jest przygotowana, uczyła się przez całe popołudnie. I nie, przecież nie wymyśliłaby sobie takiej historyjki, *no co ty, mamo.*

Mieszkanie Michała jest naprawdę ładne. W każdym razie jak na mieszkanie w bloku. Drewniane panele podłogowe, przestronna kuchnia z barkiem, kafelki lśniące w blasku punktowego oświetlenia, półki ze starannie ułożonymi książkami medycznymi. Ojciec Michała jest lekarzem, chirurgiem, który przez piętnaście lat kroił ludzi w Akademii Medycznej, opublikował liczne artykuły dotyczące problematyki krojenia ludzi, a obecnie ustala europejskie normy w tym zakresie. Kiedy patrzę na te wszystkie książki, zaczynam się naprawdę cieszyć, że już wkrótce będę ewentualnie krojony zgodnie z europejskimi nor-

mami, opracowanymi przez człowieka, który zna się na rzeczy i wie, że cięcie przy wyrostku robaczkowym powinno mieć od sześćdziesięciu trzech do osiemdziesięciu siedmiu milimetrów. Na środku salonu stoi masywny stół, chyba jakiś antyk, a na stole leży poplamione tłuszczem pudełko po pizzy, wokół którego walają się puszki po piwie, puste konserwy i plastikowe butelki po coca-coli i innych niezdrowych napojach. Oprócz tego na stole leży notebook – siadam przy nim, Michał siedzi obok, zapalając papierosa, Ola spogląda mi przez ramię. Właściwie nic nowego. Stan papieża jest ciężki, ale stabilny. Wysoka gorączka powoli ustępuje. Na placu świętego Piotra gromadzą się ludzie. Otwierane piwo z sykiem rozpryskuje się dookoła. Ola całuje mnie w szyję. Michał przysuwa notebooka do siebie i loguje się na ircowym kanale. Powietrze gęstnieje od dymu, bo nikomu nie chce się otworzyć okna. Powoli zapadam się w to wszystko, opadam na samo dno, delikatnie kołysząc się na boki. *To my chyba już się położymy* – mówię w końcu z wysiłkiem. *Jasne* – mruczy Michał – *drzwi po prawej na końcu korytarza, dobranoc*. – *Dobranoc* – odpowiadam i idę z Olą do pokoju, obejmując ją i przyciskając do siebie. Jest miękka, ciepła i moja.

I po prostu nie mogę się powstrzymać, kiedy tę jej miękkość i mojość jej czuję całym ciałem; i zapadam w nią trzykrotnie, raz za razem, bez przygotowania i bez zabezpieczenia, bez żadnej asekuracji, bez planu ucieczki, gotowy na wszystko, cały jej, w niej, z nią. Mruczy jak kotka i słyszę to mruczenie, cichnące zwolna, kiedy zasypiam, kiedy uciekam w sen i zostawiam daleko, daleko za sobą Arkadię, wódkę w zaułku, koncert, rajd przez miasto, nocną taksówkę, radiowe serwisy informacyjne i europejskie normy chirurgiczne. Mój sen jest biały i nie ma w nim żadnych kształtów, mój sen jest jak wielka mgła, jak ciepłe mleko, jak sztuczny śnieg, jak wata w uszach i – i właśnie, szukam tego właściwego słowa, które określi jego smak, znany przecież – jest jak bita śmietana na języku: *jak bita śmietana jesteś, śnie* – myślę we śnie, i w tym samym momencie biel gaśnie, przecinana tysiącem czarnych smug, a ponad wielką ciszą rozlega się melodia z opery Griega rozpisana na syntetyczne instrumenty telefonu komórkowego. Otwieram oczy, podnoszę głowę, rozglądam się, widzę Olę, która śpi, obejmując śmiesznie poduszkę; przypominam sobie, jak przed trzema godzinami kochaliśmy się tutaj bez zabezpieczenia, głowa mi opada, patrzę

DLA MNIE PAPIEŻ – POLAK
JAN PAWEŁ II BYŁ NAJWS
PANIALSZYM MYM PRZYWÓ
DCĄ DUCHOWYM DZIĘKUJĘ
BOGU ZA TO ŻE MOGŁAM
ŻYĆ W TAKICH CZASACH G
DZIE TU NA ZIEMI MIELIŚM
Y ŻYWEGO ANIOŁA

~ BASIEŃKA

tępo w sufit i szepczę *kurwa mać*, bez żadnych emocji, *kurwa mać, o kurwa mać*.

Czuję, jak ze mnie wyciekasz – mówi mi do ucha Ola, kiedy żegnam się z nią na peronie. *Mam nadzieję, że trochę mnie jednak w tobie zostanie* – odpowiadam, chociaż raczej niepewnie. A potem jadę kolejką, powtarzając sobie w myślach nazwy mijanych stacji, żeby nie zasnąć. Jest piękny poranek, dookoła mnie są ludzie; ci ludzie jadą do szkół, na uczelnie i do pracy – a ja jadę do domu, obolały, skacowany i uśmiechnięty uśmiechem człowieka, któremu jest raczej wszystko jedno, raczej już teraz naprawdę wszystko jedno. Dzisiaj są moje urodziny. Mam dwadzieścia cztery lata, ocalałem, tak to jakoś szło.

Ale w domu nikogo nie ma. Matka jest w pracy, a siostra pojechała na uczelnię studiować zarządzanie. To tutaj przyjęte, wśród młodych ludzi, aby studiować zarządzanie. Ona akurat nadaje się do tego jak nikt inny. Na stole znajduję precyzyjne instrukcje postępowania: zjedz, podgrzej, wyłącz, zamknij dokładnie,

bądź ostrożny. *Szkoda, że mi tego nie powiedziałaś wczoraj wieczorem* – myślę. Na biurku leży jakaś maskotka, urodzinowy prezent, też od siostry. Matka niczego nie zostawiła – pewnie czekała na mnie do późnej nocy, a potem zasnęła płytkim snem matek czekających na synów, a gdy zbudziła się rano i zobaczyła moje puste łóżko, straciła wszelką nadzieję: na mój powrót, na moje opamiętanie, na moją przyszłość szczęśliwą. Biorę szybką kąpiel i pakuję się w pośpiechu, przeliczając piętnaście razy bieliznę, swetry, spodnie, płyty CD, ładowarki do urządzeń elektronicznych, książki, zeszyty, długopisy i pudełka z lekarstwami. W ostatniej chwili sprawdzam w sieci rozkład jazdy autobusów i czy on żyje. Żyje, wciąż żyje, chociaż jest w śpiączce. Czuję jakąś dziwną ulgę: gdybym teraz, na kacu, pakując się i sprawdzając rozkład jazdy, dowiedział się, że papież umarł – czułbym się niestosownie. Czułbym, że jestem niestosowny. Że to nie powinno się tak dziać, żeby papież tam umierał, kiedy ja tu się miotam między plecakiem i klawiaturą, między lodówką i łazienką. Ostatecznie jestem ochrzczony, komunikowany i bierzmowany. To jakoś zobowiązuje.

(Nie wiem, jak było z chrztem, ale pierwszą komunię pamiętam. Najpierw przez wiele miesięcy musieliśmy przychodzić do salki na organistówce, gdzie siostra Leonia mówiła nam o tym, że pierwsza komunia to najważniejszy dzień w życiu. Albo czytała fragmenty z książki, w której była biografia świętego Jana Bosko i kilku innych świętych i dla nich wszystkich komunia była najważniejszym dniem w życiu. Kiedy siostra Leonia była w szczególnie uroczystym nastroju, zaraz po modlitwie zaczynała opowiadać, jak to będzie – że przyjedzie sam biskup. Przed słowem *biskup* robiła pauzę, a my wszyscy mimowolnie wstrzymywaliśmy oddechy. Byłem bardzo ciekawy, jak wygląda biskup i bałem się go trochę, bo wydawało mi się, że musi być bardzo wysoki i strasznie duży, i w szatach czerwonych z bielą, wyszywanych złotem, i że jeśli ktoś będzie przeszkadzał, to taki biskup jednym gestem może go skazać na wieczne potępienie w piekle, w którym grzesznicy smażą się w smole. *Przyjedzie sam biskup* – powtarzała siostra Leonia, robiąc tym razem pauzę już przed słowem *sam*. I dalej mówiła o tym, że dziewczynki w bieluśkich sukienkach będą w nawie lewej, a chłopcy w garniturach granatowych w prawej i że dobrze byłoby,

gdyby wszyscy mieli takie same – granatowe, a nie czarne albo kremowe, bo to wtedy zawsze nieładnie wygląda, że się tak ktoś odcina. No, chyba że ktoś już koniecznie musi, nie stać go na nowy albo co, to trudno, niech przyjdzie w takim, jaki ma. I kiedy będziemy wchodzili do kościoła w dwóch rzędach, z dłońmi złożonymi wysoko, przed brodą, biskup będzie na nas patrzeć z fotela koło ołtarza. I mamy dużo szczęścia, bo od naszej parafii biskup zacznie, ksiądz proboszcz załatwił. To wielkie wyróżnienie, naprawdę wielkie, wspaniałe wyróżnienie. *Jak myślisz* – zapytał mnie kiedyś kolega – *czy taki biskup jest później zmęczony i traci moc? I jak potem będzie dawał komunię tym z szóstki, to już będzie słabsza?*).

Jest jakieś drgnięcie w środku, kiedy pociąg rusza. Gdynia zaczyna uciekać, za chwilę ucieknie i Sopot, i Gdańsk, a później Tczew i Malbork – i po kilku kolejnych godzinach wysiądę w Krakowie. Jest drgnięcie: przez ułamek sekundy waham się, zanim zdaję sobie z tego sprawę i świadomie przestaję się wahać. Waham się, bo jeszcze mogę uciec, wysiąść na najbliższej stacji, zadzwonić do Frytki, powiedzieć mu

cokolwiek: że złamałem nogę, wpadłem pod samochód, że nagle umarłem i nie żyję. Za późno – już jestem uwikłany w sprawy pociągu, już pyta mnie chłopak siedzący koło drzwi: *Przepraszam pana, miejscówki są ważne na określoną godzinę, tak? Bo ja kupiłem rano i widzę, że mi sprzedała ta baba w okienku miejscówkę na dziewiątą trzydzieści… to przecież nie jest ten pociąg, a ja daleko jadę, do Kielc, nie chcę problemów z konduktorem* – przerywam mu i mówię: *Tak, proszę pana, na określoną godzinę.* Milknie nieco speszony, bo przecież jeszcze nie skończył swojej opowieści o babie z okienka, o dalekiej podróży do Kielc – i pewnie o jakiejś dziewczynie, która tam na niego czeka, której zdjęcie zaraz wyciągnie z portfela; a później zacznie opowiadać o tym, że w Kielcach ciężko z pracą, ale kolega załatwił mu w Gdyni i tak się teraz miota między Kielcami i Trójmiastem, a dziewczynę chyba do siebie ściągnie, bo ślub chcą brać, może na jesieni, a może w przyszłym roku, bo jednak co żona, to żona, a dziewczyna to jednak tylko dziewczyna, tak bez ślubu to strach zostawiać na drugim końcu kraju. Nawet żałuję, że mu przerwałem, mogłem pozwolić, żeby się rozgadał, mogłem poczekać, aż dojdzie do tej dziewczyny i tego strachu. I wtedy dopiero przerwać, łagodnie i uprzejmie: *Tak,*

tak, proszę pana, strach zostawiać. Ja kiedyś miałem jedną dziewczynę na odległość i to, proszę pana, zawsze, zawsze, ale to zawsze kończy się tak samo: jest jakaś impreza, do dyskoteki pójdzie albo na urodziny do kolegi – i moment, proszę pana, jeden moment i po sprawie – już majtki zdjęte, już ją, proszę pana, ten czy ów, pan rozumie – i rano jest płacz, płacz jest, proszę pana, ale to nigdy się potem nie udaje już, bo pan się gryzie, ona się gryzie i tyle z tej miłości. Więc niechże on na mnie nie patrzy takim wzrokiem i z takim wyrzutem, bo naprawdę mogłem to wszystko powiedzieć.

Kiedy wychodzę na korytarz, jesteśmy już za Gdańskiem. Dzwonię do Oli: *Cześć, kochanie; lokalne minimum odległości pomiędzy nami właśnie przekroczyłem i zaczynam się oddalać, co u ciebie?* Przez chwilę milczy i orientuję się, że to nie czas na wesołe żarty. *Rodzice zagrozili mi, że mnie wyrzucą z domu* – mówi w końcu. *Oczywiście domyślili się, że nie byłam u koleżanki, wszystko ze mnie wycisnęli i o tym w nocy też, matka mnie od kurw zwyzywała, a ojciec chciał numer do ciebie, koniecznie, ale nie dałam.* Gapię się w ścianę, na to nie byłem przygotowany. A ona mówi dalej: *Czers, Czers, co my zrobimy, jak się okaże, że jestem w ciąży? Przecież*

nie wezmę znowu pigułki, tydzień po tamtej. Staram się odchrząknąć nieznacznie, głos nastroić na właściwe rejestry, a wszystko to bardzo szybko, żeby nie było słychać. *Co zrobimy, co zrobimy; ślub weźmiemy i wychowamy sobie dziecko nasze* – mówię, jak gdyby była to rzecz zaplanowana od lat całych – *a teraz gdzie jesteś tak w ogóle? – U koleżanki* – mówi – *uczymy się do matury.* I oto otwiera się okienko i wpada przez nie jasność, bo teraz mogę natychmiast powiedzieć: *A to ucz się, kochanie, ucz i nie myśl o niczym. Zadzwonię do ciebie jeszcze, jak dotrę na miejsce, pa* – i oprzeć czoło o zimną szybę, i zastygnąć tak na wiele sekund.

(Przez wiele miesięcy siostra Leonia powtarzała nam, że to będzie najważniejszy dzień naszego życia i mówiła nam o biskupie. Powtarzała nam to tyle razy, że pod koniec nikt jej już nie słuchał i dopiero kiedy stawała nad nami, krzycząc: *Uspokujesz ty mie się, jeden z drugim, czy nie? Chcesz, jeden z drugim, żebym nie dopuściła do komunii? Chcesz, żeby rodzice przez ciebie płakali, że garnitur kupiony i ciasta zamówione, a ty nie jesteś dopuszczony?* – wtedy dopiero milkliśmy i spuszczaliśmy głowy. A ona stawała na środku, wciąż czerwona na twarzy, patrzała wkoło złym

wzrokiem, po czym podnosiła palec do góry i mówiła, że pierwsza komunia to bardzo ważny dzień, najważniejszy ze wszystkich).

Papież – przypominam sobie nagle, kiedy siedzę w przedziale i czytam gazety kupione przed odjazdem – *co z papieżem?* W gazetach o papieżu nie ma ani słowa, bo tematem tygodnia jest Terri Schiavo, gasnąca spokojnie w Ameryce po odłączeniu sztucznego odżywiania. Terri już umarła, wczoraj chyba albo przedwczoraj – ale oni o tym nie wiedzą, ci ludzie, których słowa czytam teraz, odległe o świetlny tydzień. Kłócą się tutaj – czy słusznie, czy niesłusznie, czy odłączyć, czy nie, czy zabójstwo, czy skrócenie cierpień – a ona tymczasem w najlepsze nie żyje. To dosyć śmieszne mimo wszystko, że dyskusja tak zacięta, tak żywotna, a ona taka martwa, taka sztywna. Ja też bym tak wolał. Pod warunkiem, że nie wiedziałbym, że oto mnie odłączają mądrzy ludzie na podstawie wyników badań, na podstawie tabel, norm i wyliczeń. Zresztą – nawet gdyby; lepsze to, niż obudzić się po pięciu kolejnych latach i w archiwach gazet i portali zobaczyć tysiąc razy własne zdjęcie, kiedy leży się z oczami otwartymi szeroko i równie sze-

KONDOLĘCJE

~BIS

A ŚWIATŁOŚ NIECHAJ MI
I ŚWIECI

~ZUBI

WYBACZ OJCZE MOJE GRZ
ECHY

~MNOK

ŻEGNAJ........
:(((KOCHANY OJCZE
~CANDY

roko otwartymi ustami – jak brzydka woskowa figura, jak zepsuty manekin porzucony w magazynie. A ci ludzie wszyscy, etycy, lirycy i inni piknicy, oni nie o Terri dyskutują, ale o wirtualnej Terri – takiej, jaką znają z gazet i telewizji. Gdyby poszukali w Internecie, to znaleźliby dokumenty sprzed kilku lat – wyniki badań, w których zaznaczono, że prawdopodobna jest próba duszenia przez męża, raporty stwierdzające, że chora kontaktuje się z otoczeniem, chociaż w ograniczonym stopniu, artykuły wyliczające kwotę, jaką dostanie z ubezpieczenia mąż po śmierci żony. O tak – na miejscu Terri wstałbym z łóżka, z półmartwych wstałbym i prosto w cyklopie oczy kamer skierowałbym palec wskazujący, i podniósłbym go w górę, i powiedziałbym: *Precz!* głosem strasznym. Ale *papież* – przypominam sobie znowu i wysyłam siostrze esemesa: *Informuj mnie na bieżąco co z papieżem. I wyłącz mój komputer, bo wychodząc, nie zdążyłem.*

Tutaj, w pociągu, nie czuje się tego umierania. Piątek, Kraków wraca do Krakowa z Warszawy po pracy. Panowie rozmawiają o najnowszych kontraktach zawieranych

przez przedsiębiorstwa, w których pracują na ważnych stanowiskach. Studenci rozmawiają o imprezach, na których byli w ciągu ostatniego tygodnia, o litrach alkoholu, który wypili, o zaletach holenderskiej marihuany i o tym, że dobrze byłoby zająć zaraz po studiach jakieś ważne stanowisko w dużym przedsiębiorstwie. Żołnierze jadący na przepustki rozmawiają tylko o liczbach. *Ile?* – pyta jeden drugiego, kiedy stoję koło kibla i palę papierosa. *W chuj dużo!* – odpowiada zagadnięty tonem służbiście uniżonym, wyczuwając dziadka. *Ile?* – pyta znowu pierwszy. *Dwieście sześćdziesiąt trzy* – mówi ten drugi. *No to kooooosmos, kurwa* – kręci głową pierwszy – *gaaalaaaktyka jak chuj. A ja mam zero z przodu już* – chwali się. Spojrzenia pełne zazdrości, szacunek w powietrzu, częstowanie się papierosami, wreszcie – ustalanie wspólnych znajomych: *Z Katowic jesteś? Bo ja mam zioma z Katowic. Wiśniewski. Jacek Wiśniewski, znasz może? Nie znasz? Blondynek taki, raczej niewysoki.* – *Blondynek…* – powtarza jak echo zagadnięty, udając głęboki namysł, zaciągając się dla wydłużenia pauzy – *a, to chyba kojarzę. Tak wiesz, z widzenia.*

Na pewno nikogo nie kojarzy z widzenia chłopak, który podróżuje w moim przedziale. Jest blondynem, tyle zauważyłem – poza tym nie wiem, jak wygląda, bo nigdy nie umiałem przyglądać się ślepcom. Oni mają jakiś dodatkowy zmysł, skórę wrażliwą na ciężar wzroku – kiedy patrzy się na takiego, choćby ukradkiem, zawsze w pewnym momencie odwzajemnia to spojrzenie swoim niespojrzeniem; i oko w oko stanąć trzeba z jego bielmem, trzeba spojrzeć pustce prosto w oczy. Wtedy pojawia się wstyd, bezsensowny, ale palący. Kiedy dojeżdżamy na miejsce on mówi: *Przepraszam państwa bardzo, jak trafić na postój taksówek?* Nie prosi wprost *– Zaprowadźcie mnie, podajcie mi dłoń swoją, pójdźcie ze mną.* Pyta tylko, grzecznie i uprzejmie, i to pytanie jest egzaminem, którego nikt nie zdaje. Ja czytam gazetę tak intensywnie, że litery nieomal blakną, że farba drukarska pęka i kruszy się, a chłopak i dziewczyna, którzy siedzą naprzeciwko, stają się niemym zasłuchaniem w hip-hopowy kawałek z discmana. I chociaż ich widzę kątem oka zaledwie, a dwóch panów wracających do Krakowa z pracy nie widzę wcale – to wiem, że teraz spoglądają na siebie z niechęcią, bo tylko oni zostali, z pustymi rękami, bez możliwości obrony. *Gdzie tam jest postój naj-*

bliższy? – pyta jeden drugiego, a fałsz dźwięczy w tym pytaniu. *Postój* – odpowiada powoli ten z wąsem – *hm, to chyba zaraz przy wyjściu będzie najbliższy, nie? – Tak* – mówi ten w okularach *– nic, tylko przejść tunelem kawałek, skręcić troszeczkę i już. I już* – mówi z zadowoleniem, jak gdyby właśnie rozwiązał problem, bo to i *już* powiedział do tego z wąsem, niewidomego; postawili z boku rozmowy. Sprytnie to rozegrali, między sobą: – *Gdzie tam postój jest, Mieciu? – A bliziutko, niedaleko* – i sprawa załatwiona, Krzyś już wie, Mieciu pytającemu drogę wskazał, cukier w normie. Tymczasem nic nie jest załatwione, niczego nie załatwił Krzyś z Mieciem, bo niewidomy pyta już otwarcie: *A czy mogliby mnie tam panowie zaprowadzić, bo nie wiem czy trafię?* I cisza, cisza, cisza. *Taaaaaak* – mówi wreszcie wąsaty bardzo, bardzo powoli. *Oczywiście, że tak. Możemy pana zaprowadzić, bo to bliziutko jest, nic, tylko tunelem kawałek i skręcić troszeczkę.* Naciska na to *troszeczkę*, bo to jedyny wentyl. W *troszeczce* mieści to, co naprawdę chce powiedzieć: *Oj, spierdalaj, gościu, spieszy mi się. Autobus chciałbym złapać, do nocnego zajść, zanim do domu przyjadę, piwo kupić i wędlinę jakąś, bo Wanda dzwoniła, że wędlina potrzebna.* A moje usta zniknęły gdzieś, rozpuściły się w skórze twarzy, zarosły, zabliźniły się. *Nie*

znasz Krakowa – myślę – *naprawdę nie znasz, nie wiesz, gdzie jest ten pierdolony postój taksówek, gdybyś tylko wiedział, to pomógłbyś temu chłopakowi; ale naprawdę, kurwa, nie wiesz i jak ci powie, że chce na jakąś Karmelicką albo Nowokurwahucką, to nie będziesz nawet wiedział, czy wyjść z nim z prawej, czy z lewej strony, a poza tym czekają tam na ciebie, w podziemiu nie będziesz miał zasięgu, ludzie pójdą, Maro z Frytką pomyślą, że coś nie tego, nie dodzwonią się do ciebie, pojadą do domu. Co wtedy zrobisz z plecakiem i torbą, skoro nie wiesz nawet, gdzie masz jechać?* I tak się rozgrzeszam usilnie, winy sobie odpuszczam, a jednak, kiedy pociąg staje, zwlekam z wyjściem, czekam, aż niewidomy wysiądzie z tymi dwoma niechętnymi, aż dzieciaki z naprzeciwka ogarną się i pójdą sobie; i dopiero wtedy wstaję, zabieram plecak, nakładam kurtkę, unikam lustra.

Frytka czeka przy kiosku, ubrany jak zwykle – w szerokie spodnie i sportową bluzę, wyglądem przypominający bardziej didżeja niż krytyka literackiego. Wygląda tak samo od czasu, kiedy go poznałem, trzy albo cztery lata temu. *Elo ziom, człowieku, man!* – wykrzykuje na mój widok. *Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś przyjeżdżał*

na trzy miesiące z jednym plecakiem! Przybijam mu piątkę na powitanie. *Wiesz, jak jest* – mówię – *wczoraj świętowałem a conto urodzin, pakowałem się na takim kacu, że nie wiem nawet, co mam w tym plecaku. Powiedz mi, żyw on jeszcze? Ów człowiek stary, czy on jeszcze żyje?* Frytka robi jeden ze swoich typowych gestów – zakreśla głową niewielkie koło w powietrzu i przybiera minę oznaczającą *jasne, wiem o co pytasz, nie musisz nic dodawać*; i: *Żyje* – mówi – *chociaż prawdopodobnie już w agonii. Radia teraz słuchaliśmy. Słuchaj, Czers, jest taka sprawa, Martyna strasznie się przejmuje tą całą sytuacją, więc wiesz… Nie mów przy niej niczego takiego, wiesz.* Kiwam głową i odpowiadam: *Nie wiem, ale chyba się domyślam.* A Frytka dodaje: *Wiesz, tutaj, w Krakowie, jest ostra jazda od paru dni. Pójdziesz na Rynek, to sam zobaczysz. Każdy róg obstawiony przez ekipę telewizyjną, polszatan, tefaupe, tefauen, tefaubucefau. Tak sprytnie się poustawiali, że jedna drugiej nie wchodzi w paradę ani pole kamery, nie wiem, czy oni jakąś umowę mają wewnętrzną, czy jak, w każdym razie jak kręcą, to w tle widać tylko Rynek i ludzi, żadnych wozów transmisyjnych. Prawda czasu, prawda ekranu, prawda.*

W samochodzie wszyscy milczą i wsłuchują się w najnowsze doniesienia podawane przez radio. Jedziemy powoli, rozglądam się uważnie – na chodnikach całe mrowie, krakowski piątek, miasto zbiega się w centrum. *Stan Jana Pawła Drugiego pogarsza się i, chociaż serce i mózg wciąż pracują, to już teraz wiadomo jedno: nie ma nadziei dla papieża* – mówi grobowym głosem spiker w radiu. Maro wybucha krótkim, urywanym, nerwowym śmiechem, gasnącym po sekundzie. *Słyszeliście to, kurwa?* – pyta. *Nie ma nadziei, powiedział, dla człowieka, który przez całe życie mówił o nadziei. „Nie ma nadziei", powiedział ten kretyn.* Też uśmiecham się pod nosem, bo trudno tego uśmiechu uniknąć. *Przekroczyć próg nadziei. Nadzieja świata. Bóg jest nadzieją. Wiara, nadzieja i miłość jak trzy gwiazdy jaśniejące na niebie życia duchowego.* Nadzieja, nadzieja, nadzieja niegasnąca nigdy – a teraz radiowy spiker, fachowo modulujący głos i dostosowujący go do potrzeb chwili, wygłasza skleconą naprędce puentę: *Nie ma nadziei dla papieża.* Maro kręci głową z dezaprobatą, omijając jakiegoś pijanego gówniarza, który pakuje się pod koła, ciągnąc w dodatku za rękę swoją dziewczynę. *Jedno wam powiem* – mówi wreszcie – *wydawcy katoliccy teraz zarobią krocie.* I taka prawda.

Martyna nic nie mówi, nie rozgląda się nawet, gryzie tylko antenę telefonu komórkowego. Ożywia się dopiero, kiedy w radiu podają, że dzwonnicy od Zygmunta zostali postawieni w stan gotowości i oczekują na informację o śmierci papieża – aby rozkołysać wówczas to ważące jedenaście ton metalowe cielsko, aby wydobyć z niego głos czysty i smutny, który zawiśnie nad miastem, od którego zadrżą mury i serca. *Maro, Maro, pojedziemy posłuchać Zygmunta?* – pyta. Jeszcze nigdy nie słyszałam jak dzwonią. Maro milczy przez chwilę, ale czuje chyba, że tak łatwo się nie wywinie. *Tak, no, postaramy się* – mówi wreszcie. *Odwieziemy Czersa... ale zresztą, ja myślę, że dzisiaj i tak nie będą dzwonić. Jeszcze nie dziś, może jutro.* Ja też nie słyszałem nigdy dzwonu Zygmunta, widziałem tylko kiedyś film dokumentalny w telewizji – „Chłopaki od Zygmunta", czy coś takiego. O tym, że to starannie wyselekcjonowana grupa mężczyzn, nawet rezerwowi są. Każdy z nich może dotrzeć na miejsce w ciągu kilkunastu minut, wystarczy telefon i w środku nocy zrywają się z łóżka. Jak strażacy. Pamiętam takie ujęcie, z dołu; w górze jasna plama światła i kołyszący się majestatycznie dzwon: *bim-bom, pariririri-bom, skąd wiedzieć wszystko, komu bije on?* A potem sylwetki tych

GDYBY KAŻDĄ ŚMIERĆ UCZ
CIĆ CISZĄ NA TAK DŁUGO
JAK ZMARŁA OSOBA SOB
IE NA TO ZASŁUŻYŁA TO
W TEN WIECZÓR CAŁY ŚW
IAT ZAMILKŁBY NA ZAWS
ZE

-POKOELENIE DŻEJ PI TU

[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]

ludzi, którzy opowiadali, jak wielkim jest dla nich wyróżnieniem możliwość kołysania najważniejszego z polskich dzwonów. Mały wówczas byłem, ile mogłem mieć, osiem lat, może dziewięć – pomyślałem wtedy, że kiedyś chciałbym zostać dzwonnikiem od Zygmunta. *Na co się nie zanosi* – myślę teraz, wyobrażając sobie, jak stoją tam w górze, czekając na sygnał, że to już, ze ściśniętymi gardłami, dwunastu poważnych mężczyzn. Jak długo mogą tak stać w tym przygnębiającym oczekiwaniu? Godzinę, dwie, może cztery. A kiedy to wzruszenie słabnie, kiedy po raz pierwszy pojawia się myśl: *umieranie umieraniem, a tu coraz chłodniej, i głodny jestem, a rano do pracy trzeba wstać?* Albo coś w tym stylu.

(A potem nadszedł wreszcie ten dzień majowy, w którym matka obudziła mnie wcześnie rano, ubrała w granatowy garnitur, wyciągnęła z szafy gromnicę – tę samą, która płonęła, kiedy byłem chrzczony – a później całą rodziną: mama i tata, babcia i siostra, wszyscy wyszliśmy prosto w oślepiające słońce poranka, w bezlitosny żar. Szedłem przez miasteczko, starając się wyglądać godnie, więc ściągałem łopatki, unosiłem wysoko brodę i stawiałem równe,

odmierzone kroki: noga na płycie chodnikowej, jedna płyta przerwy, druga noga na kolejnej płycie chodnikowej. Całą rodziną szliśmy przez miasteczko, mijając kolejne ulice – a na każdej z nich były inne rodziny i inni chłopcy w garniturach, i dziewczynki w bielutkich sukienusiach, w zielonych wianuszkach i z tych grupek tworzył się długi, wielokolorowy pochód, zmierzający do starego kościoła. A kościół miał wysoką wieżę, która przed wojną była jeszcze wyższa, ale Niemcy zburzyli, bo przeszkadzała samolotom startującym z polowego lotniska – to powiedziała mi babcia, kiedy przekraczaliśmy bramę i wchodziliśmy na plac przed kościołem. *No, idź, synku* – powiedziała matka i popchnęła mnie lekko, a ja ruszyłem ku moim kolegom, stojącym w parach pod kościelnym murem. *Tak stać!* – powiedziała siostra Leonia. *Stać i nie ruszać się, nie rozmawiać! Zaraz będzie fotograf, a potem przejdzie tędy* – tu zrobiła pauzę dłuższą niż zazwyczaj, po czym powiedziała wyraźnie, Dużymi Literami – *Ksiądz Biskup!* Staliśmy więc, podnieceni oczekiwaniem, wymieniając tylko spojrzenia i pojedyncze szepty: *Dostałeś beemiksa?* – zapytał mnie Łukasz. *Bo ja tak, już jeździłem nawet.* Milczałem, bo nie wiedziałem, czy dostanę beemiksa, a poza tym nie chciałem

teraz, w najważniejszym dniu mojego życia, tuż przed najważniejszą chwilą w tym życiu, myśleć o beemiksie. Ani o tym, że będzie mi przykro, jeżeli go nie dostanę, bo teraz nie powinno mi być przykro, a jeśli zrobi mi się choć na chwilę przykro, to może wszystko zepsuć. A poza tym Łukasz mógł się wymądrzać, bo jego rodzice żyli w dobrych stosunkach z siostrą Leonią i z proboszczem, więc sam Łukasz miał czytać na mszy rozdział z Ewangelii, a po mszy – tak mówił, ale myśmy nie wierzyli, bo co przesada, to przesada – Ksiądz Biskup miał być nawet u niego na obiedzie. Później z plebanii wyszedł fotograf objuczony torbami i zaczął robić nam zdjęcia; kiedy doszedł do mnie, stanąłem na baczność, starając się całym sobą pokazać stan łaski, w którym jestem i moje oczekiwanie – na pierwszą komunię i na Księdza Biskupa. To zdjęcie do dzisiaj jest gdzieś w rodzinnym albumie – obcięty na pazia chłopiec w garniturze, trzymający krzywo gromnicę i wyraźnie oślepiony słońcem; oczy ma zmrużone, niemal zaciśnięte, a przez to cała twarz wykrzywiona jest w paskudnym grymasie, wyginającym usta i odsłaniającym zęby. Tyle zostało z tego dnia, o którym sądziłem, o którym powiedziano mi, że będzie najważniejszym w życiu).

Proszę, to jest twój pokój – mówi Frytka. *Tu masz szafę, łóżko, stolik, biurko* – pokazuje palcem, jak gdybym wyglądał na takiego, który nie wie i pracować będzie przy łóżku, a sypiać na szafie. Zresztą może i wyglądam: w uszach mam nieprzyjemny szum, na języku suchy niesmak, jestem zmęczony, głodny i niespokojny. Rozdygotany taki. Wymięty. Zrzucam plecak, rozpinam kurtkę, otwieram okno, opieram się o parapet. *No to co?* – zagaja Frytka z wyćwiczoną werwą animatora kultury w trakcie pracy. *To może sobie teraz zapalimy na spokojnie i zastanowimy się, co zrobić dalej. Możemy na przykład zjechać do miasta, zjeść kolację u mnie, bo Andrea też ma dzisiaj urodziny, a potem skoczyć na imprezę do Hutnika, dzisiaj u niego jakieś picie miało być. Co wy na to?* Staram się przybrać minę oznaczającą *gdziekolwiek*, ale – zanim mi się to udaje – Martyna, która cały czas ma w jednym uchu słuchaweczkę podłączoną do przenośnego radia, mówi: *Wciąż jest w śpiączce, właśnie potwierdzili.* Patrzymy na nią, później kolejno na siebie, prosto w oczy, jakbyśmy przekazywali sobie znak pokoju. *Gdziekolwiek* – mówię.

Przy kolacji rozmawiamy o literaturze. Kto, z kim, kiedy, za ile – polski bigos. I węgierskie wino, bo Andrea jest z Budapesztu. Martyna co chwilę wzdryga się nerwowo, upuszczając widelec – wtedy wiadomo, że w radiu właśnie skończył się kolejny muzyczny przerywnik i zaczyna specjalne wydanie wiadomości. Wszyscy milkną, urywają w pół słowa plotki o panach i paniach, w pół zdania przerywają fachowe podsumowania. Tak się to jakoś upiornie rymuje: jej zastygnięcie, w czasie którego i my milczymy – i znowu rozluźnienie, bo nic nowego nie powiedzieli i można już wrócić do rozmowy. W końcu wszyscy rozpływamy się w komplementach pod adresem bigosu i wina, ubieramy się i schodzimy po krętych schodach w chłodny wieczór, kierując się prosto do najbliższego sklepu nocnego, a stamtąd do Hutnika, pisarza polskiego. U Hutnika impreza trwa trzeci dzień: na kanapie siedzą panie, paląc papierosy, na krześle jakiś milczący mężczyzna sączy wino, a sam Hutnik przysypia na fotelu, kompletnie pijany. Wszędzie leżą puszki po piwie, butelki po wódce, książki, papiery, ubrania, talerze. Z głośników Zdzisława Sośnicka przeplatana Bolterem i Piotrem Szczepanikiem, bo nie ma lepszych od Piotra Szczepanika – tak przynajm-

niej utrzymuje jedna z pań na kanapie. Wszystko to wygląda jak teatralna dekoracja ustawiona naprędce – zbyt doskonały wydaje się ten chaos, aby być dziełem przypadku. Siadamy, jak kto może, na taboretach, pudłach, na podłodze, otwieramy piwo, palimy papierosy, czekamy na jakieś poruszenie, ale rozmowa się nie klei, coś złego wisi w powietrzu i dziwnie duszno jest, chociaż okno otwarte. Takie rozprzężenie, coś się tam mówi bez przekonania, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że mówi się rzadko i cicho, bo wciąż się nasłuchuje. Czy przez to otwarte okno nie wpadnie nagle dźwięk dzwonu, nie wleje się do tego pokoju i nie zmiażdży nas, nie zetrze w pył.

Zamiast tego otwierają się drzwi i wchodzi Kaczka. Kaczka zjawia się zawsze tam, gdzie odbywa się jakakolwiek większa impreza – witany z otwartymi ramionami tak dla uroku osobistego, jak i, co tu kryć, zasobności portfela. Kaczka jest człowiekiem z innej bajki: kiedy my przychodziliśmy na świat, on właśnie zakładał firmę turystyczną; a kiedy my stawialiśmy pierwsze krzywe litery w zeszytach pierwszoklasistów – on był już nieomal monopolistą

w swojej niszy i miał dosyć czasu, żeby po pracy zajmować się tłumaczeniem żydowskich pieśni, śpiewaniem rosyjskich romansów albo organizowaniem towarzystw wagnerowskich. I pisaniem wierszy. Teraz stawia na podłodze siatkę pełną puszek i zaczyna w swoim stylu: *Nnno, no, co tam, co tam, jak tam? Tak myślałem, że was albo tu spotkam, albo w Pięknym Psie. Jak tam, jak tam?* I to jest jedyna szansa na otrząśnięcie się, na rozpoczęcie jakiejś rozmowy, na przewietrzenie zaduchu – ale pauza przedłuża się niebezpiecznie, a kiedy już, już wydaje się, że Frytka coś powie, Martyna krzyczy: *Tssss, ćśśś, mówią coś…* – i zakrywa dłonią ucho, w którym ma słuchawkę, więc Frytka wypuszcza tylko cicho powietrze i zaciąga się papierosem, ja spoglądam na własne paznokcie, Kaczka zastyga z dłonią na zawleczce piwa, pani na kanapie z kieliszkiem przy ustach, pan na taborecie z zapalniczką w dłoni. I kiedy tak trwamy w nieporuszeniu nagle rozlega się rumor: to Hutnik obudził się właśnie ze swojego złego snu i zerwał z fotela. *Co to za stypa?* – pyta bełkotliwie. *Co to, kurwa, za stypa, pytam się?* Nikt nie odpowiada. Patrzymy wszyscy na niego, a on chyba zaczyna coraz wyraźniej czuć ciężar powietrza, przyduchę, przykurczone napięcie i widać, jak zbiera siły, żeby się z tego

wyłamać – i nagle przyskakuje do stołu, chwyta stojącą na nim szklankę i chlust! – wylewa piwo na swoją dziewczynę, siedzącą na kanapie. Ona zrywa się i zaczyna go okładać pięściami, a my nadal patrzymy się na to, niezdolni do jakiejkolwiek reakcji, tak absurdalna jest ta sytuacja, tak nieprzystająca. Zbiegamy po schodach jak powstańcy uciekający z atakowanego budynku, zatrzymujemy się dopiero na rogu ulicy. *To nic* – dyszy Maro – *nie ma się czym przejmować, u nich tak codziennie, zaraz się pogodzą albo ona zadzwoni po policję i go wyprowadzą, ale spoko, wszystko w normie, nie zwracajcie uwagi, to w końcu Polska.* Więc nie zwracamy uwagi i rozchodzimy się w swoje strony – Maro z Martyną, Frytka z Andreą, a ja z Kaczką, do Pięknego Psa.

Chodź, Czers, chodź – powtarza Kaczka, prowadząc rower, a ja idę, czasem zataczając się lekko – wino, później piwo, wszystko na niemal pusty żołądek – po wczorajszym przepiciu. Idziemy krakowskimi uliczkami, mijając małe grupki przemieszczające się od lokalu do lokalu; latarnie świecą jasnopomarańczowym blaskiem, nasze blade cienie to wydłużają się, to nikną, niespodziewanie wyskakując z boku, wyprze-

TŁUMY LUDZI A Z KAŻDY
CH UST PŁYNIE MODLITWA
~ZAB[redacted]ŁAKANA

TY DZIĘKI KTÓREMU CAŁY
ŚWIAT ZNA MAŁY KRAJ O
NAZWIE POLSKA

~FLORIAN

dząjąc nas, kiedy mijamy kolejny słup, i gasnąc w półmroku, kiedy wchodzimy w kolejną plamę światła. *Chodź, Czers, chodź* – powtarza Kaczka. *Sto lat cię nie widziałem, pół roku chyba będzie, piękna okazja, trzeba to uczcić, bo wiesz, od jutra może być żałoba i cały Krakówek do gardła ci się rzuci – hi, hiiii – jak przypadkiem zaśpiewasz na ulicy. Zobacz* – dodaje, kiedy dochodzimy do Pięknego Psa – *popatrz na tych ludzi.* W środku jest bardziej niż pełno, wszystkie miejsca zajęte, wiele osób stoi przy barze, przy stolikach, w przejściach – nawet przed knajpą kręci się kilkanaście osób ze szklankami w dłoniach, dyskutując, plotkując, śmiejąc się. Pełen przekrój wiekowy, od szesnastolatek w barwnych koszulkach i z kolczykami w nosie, przez ryczące, wyzywająco umalowane czterdziestki, aż po siwiejących panów w okularach. Piękny Pies już od trzech sezonów jest najważniejszym lokalem dla całej bohemy, quasi-bohemy, wannabe-bohemy, a nawet antybohemy. To niespotykany sukces: zazwyczaj miejsca, w których trzeba bywać, zmieniają się co trzy miesiące, czasem częściej; zdarza się i tak, że zanim ktoś niezorientowany dowie się, jaki lokal jest obecnie najmodniejszy, zanim wybierze się tam w piątkowy albo sobotni wieczór, już jest po zabawie – w środku

pustki, towarzystwo od tygodnia po drugiej stronie Rynku. *Popatrz* – powtarza raz jeszcze Kaczka – *jutro papież umrze i połowa z nich będzie go opłakiwać rzewnymi łzami, ba – szczerze! Ale to jutro, jutro, dzisiaj jeszcze jest karnawał. Chodźmy do Dymu, nic tu po nas.*

O, tu się będzie działo, w Krakowie, zobaczysz – mówi Kaczka, kiedy siedzimy w Dymie, jednej z knajp modnych kilka sezonów temu, w której teraz snuje się paru tylko gości, wyraźnie niemiejscowych. *Takie rzeczy zobaczysz, o jakich ci się nawet nie śniło. Ja pamiętam, jak go wybrali. Który to był rok? Siedemdziesiąty ósmy chyba, podstawówkę kończyłem właśnie, no, ten wybór to było wydarzenie, trzeba przyznać. A potem te pielgrzymki; sam byłem w Poznaniu na papieżu, akurat miałem okres religijny w życiu. Tylko wtedy był zupełnie inny odbiór, bez całej tej odpustowości; wiadomo było, że papież Polak, ale w Trójcy Świętej jeszcze wtedy nie był, to się zaczęło dopiero po osiemdziesiątym dziewiątym, cały ten przemysł portretowy. To jest biznes, mówię ci, najbardziej chodliwy towar w kraju. A ja mam swoje pretensje do niego za to, co się stało pod koniec lat osiemdziesiątych i później, za hipokryzję kościoła, za to upiorne trzymanie się polityki* – Kaczka rozpędza

się coraz bardziej, podnosi głos, gestykuluje; od razu widać, że tego wieczora przyjął już swoje. *Poczekaj* – mówię, żeby go nieco przystopować *– ale jaką hipokryzję, do kogo te pretensje, do papieża czy do kościoła? I czego byś nie mówił, to zdaje się, że jednak obalenie komuny...* Przerywa mi natychmiast: *Obalenie komuny, obalenie komuny, świat pełen jest takich, co obalili komunę, Reagan obalił, Gorbaczow obalił, Wałęsa obalił, Wojtyła obalił. Marks obalił komunę, tak naprawdę sama się obaliła, musiała upaść, bo ekonomicznie była z koziej dupy zrobiona. Ludzie obalili komunę, a papież był tylko katalizatorem. Ka-ta-li-za-to-rem. Przyspieszył nieuniknione. Za to chwała, ale nie popadajmy w przesadę. Ale jak już komuna padła, to kościół zamiast się wycofać z polityki i zająć tym, czym powinien, to rozgrywał sobie swoje gierki, bo się przyzwyczaili przez tych dziesięć lat, że rozdają karty. A do rozdawania kart potrzebował ludzi, jak najwięcej ludzi, więc teraz masz to, co masz – jedna wielka hipokryzja, w niedzielę do kościoła w odświętnym ubraniu, obowiązkowo do Lichenia raz na pięć lat, a na co dzień plucie sobie pod buty, łapóweczki, aborcje, dzieci w beczkach, hulaj dusza. I nikt im nie powie, że żeby być katolikiem, to jednak trzeba się zdecydować, albo-albo; o nie. Ważne, żeby przyszli do kościoła i dali na tacę, można pouczyć, strzelić od święta jakąś mówkę, przed wyborami wska-*

zać, na kogo głosować, ale żeby jednemu czy drugiemu klapsa dać, to już nie, bo nagle z trzydziestu paru milionów zostanie jedna ósma. Nie rozmawiajmy o tym w ogóle, bo się zdenerwuję, innym razem, nie dzisiaj. I – jak na życzenie – dzwoni komórka. Kaczka odbiera, słucha przez chwilę, odpowiada: *Jasne, jasne, idziemy* – po czym rozłącza się i mówi: *Adaś dzwonił, że w Lokatorze siedzą na imprezie, chodźmy tam do nich.*

Do Lokatora jest spory kawałek, bo aż na Kazimierz. Zasiedzieliśmy się w Dymie, jest już dobrze po północy, na rynku wciąż sporo ludzi, ale w bocznych uliczkach cisza, miasto położyło się spać. Kaczka nie prowadzi już roweru, ale raczej wlecze go za sobą, ja idę siłą rozpędu – dopóki siedzieliśmy, wszystko było proste, teraz zaczęły się schody. *To nic* – myślę – *jeszcze tylko dzisiaj, może jutro, a później tylko herbata, do łóżka o dwudziestej drugiej, pracą się zajmę, czymś sobie wypełnię czas. Czymś się wypełnię. Ola!* – przypomina mi się nagle. *Przecież Ola, zapomniałem o niej. Ola i, jasna cholera, może nasze dziecko, które niechby było, dla którego mógłbym... Coś stałego, ktoś istniejący naprawdę. Wreszcie coś naprawdę.* Patrzę na zegarek – północ, mógłbym zadzwonić, ale

wolę nie, lepiej nie. Zdecydowanie lepiej nie, nie teraz, nie tutaj. Wyciągam telefon i próbuję napisać esemesa idąc – *troche wypilismy ide jeszcze zajrzec do jednej knajpy kocham cie* – ale co chwila mylę klawisze, potykam się, gubię wątek, próbując jednocześnie patrzeć na ekran i kątem oka śledzić Kaczkę: jeżeli nagle skręci, a ja nie zauważę, to już go nie znajdę, sam się już nie znajdę w tym mieście. W końcu udaje mi się dobrnąć do końca, więc wysyłam wiadomość, a w tej samej chwili Kaczka przystaje. *Spoko, już napisałem* – mówię niemrawo, bo jestem pewny, że o to chodzi. *Patrz tutaj* – pokazuje mi palcem – *poznajesz to okno?* Unoszę głowę: okno, okno jak okno, skąd mam znać jakieś okno w środku Krakowa? Ale rzeczywiście, gdzieś już widziałem, coś mi się kojarzy. *Miłosz?* – pytam. *He, he, Miłosz, Miłosz* – mówi Kaczka. *Wtedy też był huk na mieście, jak umarł, teraz będzie jeszcze większy, ale wtedy, wiesz, dodatkowe atrakcje były. Pochować na Skałce czy na cmentarzu pod murem? Wielki Polak czy zwykły zdrajca? Ależ tu była hucpa, mówię ci. Wielcy tego narodu nie mają lekkiego życia po śmierci.*

W Lokatorze bal na całego, primaaprilisowa zabawa sylwestrowa: młodzi poeci, młode po-

etessy, wszyscy poprzebierani, jakaś para całuje się na środku parkietu, co chwilę przez muzykę przebija się dźwięk tłuczonego szkła, kiedy ktoś pijany strąca kufel albo szklankę. Witamy się ze znajomymi – Adaś już leży na kanapie, bo nie może stać, Jasiu wygląda na trzeźwego, ale kiedy wita się ze mną po raz drugi, orientuję się, że ma urwany film. *A słyszeliście dowcip o papieżu?* – pyta jakaś dziewczyna w boa owiniętym wokół szyi. *Umiera Jan Paweł Drugi i idzie do nieba, pod bramą święty Piotr pyta go: A ty kto? – No jak to kto, mówi papież, jestem papież. Święty Piotr mówi: Nie mam takiego na liście. – Jak nie masz, mówi papież, sprawdź, Jan Paweł Drugi, Karol Wojtyła. – Nie ma, mówi święty Piotr. – Nie może mnie nie być, mówi papież, przecież byłem papieżem, rządziłem kościołem, na pewno jestem na liście, sprawdź jeszcze raz. – No nie ma, mówi święty Piotr... I ten, zaraz, poczekajcie, żebym nie spaliła. I papież mówi, że chce się widzieć z kierownikiem, znaczy z Jezusem. No i przychodzi Jezus, papież mu mówi, że jest papieżem, a Jezus na to, że nikogo takiego nie ma na liście do nieba, sorry. Więc papież stoi i nie wie, co jest grane, mina mu rzednie, a wtedy Jezus klepie go po plecach i mówi – Uśmiechnij się teraz w tamtą stronę, jesteś w ukrytej kamerze.*

O wpół do drugiej stoję na ulicy, rozglądając się niepewnie. Kaczka gdzieś się zgubił, może poszedł do domu, a może to ja się zgubiłem, a on nadal siedzi w Lokatorze. W każdym razie mam dosyć, już mi wystarczy, już mnie wystarczy, mi już mnie wystarczy, ja dziękuję, ja idę do domu. Tymczasem jestem jednak na długiej ulicy, która ma dwa końce. *To i tak dobrze* – myślę – *gdyby miała trzy, problem byłby większy, ale i z dwóch niełatwo wybrać ten właściwy.* Nie pamiętam, którędy przyszliśmy, ale gdzieś tam jest Rynek, gdzieś tam są taksówki – tutaj nie widać żadnej. I chwieję się tak, raz w lewo, raz w prawo, nie mogąc podjąć decyzji – to jest taka gra – zgadnę dobrze: trafiam do domu, wygrywam; zgadnę źle: kluczę, błądzę, potykam się, przewracam, ginę, przegrywam. W końcu podchodzę do dwóch facetów stojących nieopodal; jeden drugiemu coś tam tłumaczy: *Mówię ci, kurwa, Karol, ja bym cię, kurwa, przecież bym cię, kurwa, nie oszukał* – więc czekam na właściwy moment i pytam: *Przepraszam, na postój taksówek chciałbym, to którędy?* Uderzenie odrzuca mnie o dobry metr, ale łapię równowagę – ich jest dwóch, napierdoleni są wprawdzie gorzej ode mnie, ale jak przycisną, to koniec; uciec chyba mogę, chociaż dokąd, kurwa – dokąd miałbym uciekać

w tym mieście nieznanym? Skręcę w niewłaściwą uliczkę i witaj, anielska królowo. Na szczęście ciśnienie spada, ten bardziej trzeźwy trzyma kumpla i wrzeszczy mu w twarz: *Uspokój się, kurwa, Romek! Wyluzuj, kurwa, Romek!* I Romek rzeczywiście luzuje, przestaje się szarpać i opuszcza głowę, jak gdyby nagle wyczerpały mu się baterie. Wycofuję się powoli, tyłem, odwracam się dopiero kilka metrów od nich i niespiesznie odchodzę, nasłuchując – teraz nie mogę się odwrócić i nie mogę biec; ale muszę być czujny, bo jeżeli ruszą za mną będę miał tylko sekundę, może dwie, na to, żeby rzucić się przed siebie. Stoją, zostali. Milczą, więc patrzą na mnie, ale nie ruszyli się. *Dobrze* – myślę – *bardzo dobrze*, ale dopiero za rogiem opieram się o mur i oddycham głęboko. A potem ruszam przed siebie – kierunek sam się wybrał, pozostało iść. Mijam ciemne witryny sklepów, przechodzę przez puste skrzyżowania. Po drugiej stronie ulicy widać jakichś zapóźnionych przechodniów, ale po mojej nikogo – poza tymi chłopaczkami, którzy nadchodzą z naprzeciwka, w kapturach nasuniętych na oczy. Daleko są jeszcze, o dwieście metrów może, ale już teraz skręcam w najbliższą uliczkę. Tu jest już znacznie ciemniej i nie ma żadnych sklepów; mijam

DLA OJCA ŚWIĘTEGO ŚW
PAMIĘCI :(NASZ WSPANIA
ŁY OJCZE !!! DLACZEGO N
AŚ TAK SZYBKO OPUŚCIŁ
EŚ !!! :(((WIEC O TYM ŻE C
IĘ BARDZO KOCHALIŚMY I
NADAL TAK JEST :(:(*

~IWONA

tylko bramy i dziesiątki wielkich, drewnianych drzwi. Drzwi, bramy, drzwi, bramy, zaczynam się czuć, jak gdybym poruszał się wewnątrz jakiegoś fraktala, ale w niewłaściwym kierunku, skoro ulica się zwęża; skręcam w następną, jeszcze mniejszą, a później w jeszcze jedną, na której świeci co trzecia latarnia, więc jest ciemno, z każdym krokiem coraz ciemniej. Przyspieszam – ale straciłem już orientację, zaplątałem się, zgubiłem. W końcu przystaję pod jakimś drzewem, staram się wyciągnąć papierosy, razem z nimi wypada klucz i z brzękiem uderza o chodnik, więc szukam go na oślep, a kiedy wreszcie znajduję, po kilku minutach, ręce drżą mi tak, że nie mogę trafić końcówką papierosa w płomień zapalniczki.

Docieram na miejsce po drugiej, rzucam kurtkę na łóżko, albo może kurtka rzuca mnie na fotel, niczego nie jestem już pewny. Siedzę w ciemnościach i nie mogę zebrać myśli; w głowie zaczyna się to bolesne pulsowanie, a pod wszystkim czai się gdzieś nieokreślony lęk, jakiś chłód wędrujący wzdłuż pleców. W końcu znajduję pilota i włączam telewizor, chociaż przez moment się waham, palec na

przycisku rozluźnia się – ale to tylko chwila. Ekran rozbłyskuje i migocze – a później pojawia się obraz: studio specjalne poświęcone papieżowi, ubrany na czarno prezenter patrzy na swojego gościa, poprawia okulary, wreszcie mówi: *Nie ma nadziei dla Jana Pawła Drugiego*; i patrzy wyczekująco na rozmówcę, który przez chwilę kiwa głową, pewny, że nastąpi ciąg dalszy; i dopiero kiedy orientuje się, że teraz jego kolej, że teraz to on ma mówić – wtedy chrząka i powtarza: *Tak, nie ma nadziei dla Jana Pawła Drugiego*, patrząc wyczekująco na prezentera. Ten patrzy przed siebie, udając, że nie rozumie, pauza się przeciąga, trwa wojna nerwów. *Teraz wiele się zmieni* – mówi wreszcie prezenter, ponaglony pewnie przez realizatora. *I, no właśnie, co się zmieni, panie gościu?* Gość w zamyśleniu gładzi się po brodzie. *Wiele się zmieni* – odpowiada wreszcie. Na pasku u dołu ekranu, takim samym jak w programach ekonomicznych, przesuwają się najnowsze doniesienia i aktualne notowania: *07:20 Papież jest w bardzo ciężkim stanie, poinformował rzecznik watykański Joaquin Navarro-Valls *** 09:40 Jan Paweł II gaśnie pogodnie, powiedział kardynał Andrzej Maria Deskur, przyjaciel Papieża *** 12:30 Papież jest w ciężkim stanie, ale zachowuje świadomość, modli się i przyjął kilku swych*

*współpracowników *** 19:04 Joaquin Navarro-Valls poinformował, że stan Jana Pawła II jeszcze bardziej się pogorszył – organy życiowe nie funkcjonują, a parametry życiowe są nieodwracalnie złe *** 21:36 Tego wieczoru lub tej nocy Chrystus otworzy drzwi papieżowi, powiedział arcybiskup Angelo Comastri, papieski wikariusz generalny dla państwa watykańskiego*; i od nowa, jak gdyby czas się zapętlił: *07:20 Papież jest w bardzo ciężkim stanie*. Zmieniam kanał. Na trzydziestym drugim jest studio specjalne poświęcone papieżowi. Prezenterka ubrana na czarno czyta informację: *Stan papieża uległ dalszemu pogorszeniu; według nieoficjalnych informacji uzyskanych ze źródeł watykańskich, nie ma już nadziei dla Jana Pawła Drugiego.* Na trzydziestym trzecim jest studio specjalne, *Nie ma nadziei dla Jana Pawła Drugiego* – mówi przystojny prezenter, na trzydziestym czwartym studio specjalne, *nie ma nadziei*, trzydziesty piąty, *nie ma nadziei, nie ma nadziei, nie ma nadziei.* Na trzydziestym szóstym dwóch Chińczyków, jak gdyby nigdy nic, gra w ping-ponga.

Wracam do początku: *Połączenie na żywo z krakowskim Rynkiem. Halo, Basiu, powiedz mi, jaki nastrój panuje w Krakowie?* Basia kiwa głową

i odpowiada: *W Krakowie panuje nastrój smutku, żałoby, zadumy i przygnębienia; na twarzach ludzi nie widać uśmiechów, a kawiarnie i puby, zazwyczaj rojne i gwarne, tej nocy świecą pustkami*. Trzydziesty drugi – *w Wadowicach panuje nastrój przygnębienia, żałoby i zadumy*. Trzydziesty trzeci – przystojny prezenter rozmawia ze swoim gościem. Trzydziesty czwarty – seria ujęć z pielgrzymek i spotkań, krótkich, kilkusekundowych, jak w teledyskach. Skaczę coraz szybciej, raz, raz, raz, raz: skupione twarze prezenterów, słuchawki w uszach, zaproszeni goście, wysiłek kamerzystów, pot na czołach realizatorów, nerwowość szefów redakcji – czy uda się, czy uda się nam przekazać te chwile lepiej niż innym – *Grzesiu, przeczytaj jeszcze raz ostatnie wiadomości, potem wrzucę ci Wadowice na żywo, mamy już połączenie, potem przebitka z placu Świętego Piotra, Kraków i raport specjalny, minuta po minucie*. Korespondentka z Watykanu daje znać, że ma najświeższą wiadomość, którą zdobyła dzięki układom z Rajuno. *Grzesiu, Grzesiu, zmiana jest, zaraz wejdzie Watykan*. Więc Grzesiu mówi: *Proszę państwa, połączymy się teraz z placem Świętego Piotra, nasza korespondentka przekaże państwu najnowsze doniesienia*. Cyk, następny kanał, a tam już ktoś informuje: *Jak dowiedziałem się przed chwilą z nieoficjalnego źródła, papież odzyskał przytomność,*

choć jego stan jest bardzo, bardzo ciężki i nie ma nadziei dla Jana Pawła Drugiego; jest to jednak informacja niepotwierdzona, powtarzam: informacja niepotwierdzona. Cyk, następny kanał, następny, następny, raz, raz, raz, raz: *nie ma nadziei*, informacja z nieoficjalnego źródła, dziennikarze włoskiej telewizji informują, w Krakowie nastrój smutku, zapalenie układu moczowego, *nie ma nadziei*, zaproszony profesor medycyny diagnozuje papieża na odległość, *nie ma nadziei*. Coraz mocniej kręci mi się w głowie, ręce same zaciskają się na poręczach fotela, a przed oczami staje mi uparcie ten sam obrazek: papież stojący w oknie i próbujący powiedzieć coś do ludzi na placu, zbierający siły, wytężający przeciętą krtań. I ten wysiłek na twarzy, to napięte skupienie, twarde jak skała, jak opoka – i ani słowa, ani jednego słowa. A później jego twarz, niknąca w głębi pomieszczenia, kiedy ktoś niewidoczny odciągnął od okna platformę, na której stał, twarz niknąca w półmroku, rozmywająca się, ginąca w ciemności – i wtedy wydawało mi się, że słyszę w tle jakiś dźwięk, jakiś niepokojący dźwięk, który teraz powraca, który przebija się spomiędzy wyświechtanych frazesów, wypływa na wierzch, między połączeniem na żywo a raportem minuta po minucie, coraz głośniej-

szy, coraz bardziej wyraźny, natarczywy, nieznośny, przerażający; i czuję strużkę zimnego potu, ściekającą wzdłuż kręgosłupa, i narastające drżenie rąk, i szczękanie własnych zębów – i nagle wydaje mi się, że już rozumiem, że pojmuję, co to za dźwięk i zmartwiały opadam na fotel w dygocie, zasłuchany w zwycięski śmiech Bestii; i szeroko otwartymi oczami widzę, jak twarze prezenterów wyginają się w sardonicznym grymasie, jak w ciągu sekundy wyrastają im zakrzywione kły rozrywające wargi, jak ich oczy rozjarzają się piekielną czerwienią. A później nagle wszystko gaśnie i zapada ciemność.

2

Następnego dnia umarł. Wcześniej obudziłem się z ciężkim westchnieniem, z jakim zwykle budzą się ludzie ze snu głębokiego jak studnia i jak studnia ciemnego. Obudziłem się z nerwowym wzdrygnięciem, na podłodze, i leżałem przez chwilę nieruchomo, ogarniając wzrokiem jasny prostokąt okna, teatralny plakat na ścianie, którego wcześniej nie zauważyłem, sosnowy stół, łóżko, porozrzucane ubrania. Później przypomniałem sobie wczoraj i znów się wzdrygnąłem, mamrocząc pod nosem coś jakby: *przywidzenie, przywidzenie*, niemrawo podnosząc się z podłogi. A później wysypałem z plecaka rzeczy, wybierając te najpotrzebniejsze i, potykając się w progu, poszedłem do łazienki. Odkręciłem gorącą wodę i długo, długo stałem

pod strumieniem niemal bez ruchu, z zamkniętymi oczami, z dłońmi na twarzy, długo, długo, długo. A jeszcze później znalazłem kuchnię – wielkie, ponure pomieszczenie na najniższej kondygnacji, w którym każdy krok wywoływał nieprzyjemne echo i w którym groźnie dźwięczało każde poruszenie czajnika, talerza, łyżki – i w cudzym kubku zaparzyłem sobie cudzą herbatę. I snułem się po całym domu cicho i ostrożnie, próbując odgadnąć, czy jest tu ktoś jeszcze, a kiedy nabrałem przekonania, że jestem zupełnie sam, narzuciłem kurtkę i ze źle przed sobą samym skrywanym pośpiechem wyszedłem, i parkową aleją, między drzewami, poszedłem na przystanek, i zjechałem autobusem do centrum. Krążyłem Plantami, kluczyłem, skręcałem to w prawo, to w lewo, na chybił trafił wybierając drogę, próbując zapamiętać nazwy ulic, nauczyć się ich położenia, koniec końców zawsze najniespodziewaniej trafiając na Rynek, na którym – tak jak mówił Frytka – stały wozy transmisyjne, podesty dla prezenterów i satelitarne nadajniki, znudzeni technicy grali w karty na przenośnych stolikach albo drzemali za kierownicami – a wyłączone kamery wycelowane były w niebo.

BARDZO MI PRZYKRO :(:(:(
OJCZE WYBACZ WSZYST
M LUDZIOM WSZYSTKIE G
RZECH [redacted] CHOĆ CIĘŻKIE
SĄ ONE JAK ŻELAZO

~RAFAŁ

PANIE PRZYTUL GO DO ŚW
EGO SERCA

~LILIJKA

I kiedy tak błąkałem się tu i ówdzie, tędy i owędy, raz tam, raz sam – zadzwonił Kaczka i zapytał, co robię i czy przypadkiem nie robię niczego, a jeśli tak, to żebym poszedł do Bunkra, napijemy się czegoś i pogadamy. Więc poszedłem w stronę, która wydawała mi się właściwą, a później w stronę przeciwną, a później w jeszcze trzecią, trafiając nareszcie na miejsce – i posiedzieliśmy, i napiliśmy się czegoś, i pogadaliśmy. I wtedy papież umarł, lecz nie wiedzieliśmy o tym. Nie zatrzęsła się ziemia, na niebie nie pojawił się świetlisty znak, nikt nie zerwał się od stolika, nikt nie przebiegł ulicą z krzykiem, nikt nie przysłał esemesa i nawet dzwonu Zygmunta nie usłyszeliśmy pośród gwaru kawiarni, więc siedzieliśmy i piliśmy, i gadaliśmy, jak gdyby nigdy nic. A później poszedłem na Piłsudskiego, na przystanek, i czekałem na autobus, jechałem autobusem, wysiadałem z autobusu, szedłem ulicą, otwierałem drzwi, wchodziłem do domu, rozbierałem się, myłem ręce; i dopiero wtedy pomyślałem, że przecież to mogło się stać, i – niepewnie, ale jednak – włączyłem telewizor, a z dłoni skapywała woda, włączyłem telewizor i zobaczyłem prezydenta, który mówił: *Odszedł wielki Papież, nasz najwybitniejszy Rodak, Ojciec Święty. Dobry*

ojciec nas wszystkich – wierzących i niewierzących, wyznawców różnych religii; a woda skapywała z dłoni, *że wielowiekowa, niezwykle głęboka duchowość naszego narodu wydała wybitną, piękną postać, która mogła tak wiele dać światu*; a dłonie miałem wilgotne i to było nieprzyjemne, *i osobiście czujemy się w tym smutnym dniu szczęśliwi, że było nam dane żyć w tych czasach.* Słuchałem tego, co mówił prezydent, i było tak, jak gdybym stał naprzeciwko wielkiej, białej ściany, jak gdybym stał na wielkiej, białej podłodze, naprzeciwko wielkiej, białej ściany, mając nad głową wielki i biały sufit. I jak gdybym miał przy tym mokre dłonie. A później prezydent powiedział: *Obyśmy potrafili sprostać Twoim naukom, dziełu, postawie,* pauza: *oby!* A ja patrzałem na prezydenta, który składał okulary i odkładał kartki z tym pięknym przemówieniem, patrzałem na niego i nagle gdzieś we mnie pojawiło się pytanie, którego nie rozumiałem, a które powracało nieustannie, jak natrętna mucha krążąca uparcie za głową – ale nie mogłem znaleźć w sobie siły na to, żeby zastanowić się, jak brzmi to pytanie; i wreszcie zadałem je na głos, dopiero wtedy pojmując, o co pytam, i w tym ciemnym pokoju, stojąc przed telewizorem z wilgotnymi dłońmi, zapytałem

prezydenta: *A minister Siwiec, czy on już ucałował tę kaliską ziemię?*

A niedziela była pusta i próżna; chodziłem po korytarzach wyraźniej jeszcze niż wcześniej, szurałem krzesłem w jadalni, trzaskałem drzwiami – ale na nic wszystko, nikogo nie wywabiłem na korytarz, bo też nikogo nie było w tym wielkim domu, tylko ja i ściany, i papież odmieniany w myślach – chcąc nie chcąc – przez wszystkie przypadki. Między łazienką a kuchnią, pokojem i pralnią, próbowałem wyobrazić sobie, jak będzie teraz, kiedy fraza *papież Polak* przestanie być równie oczywista jak *orzeł biały* albo *Morze Bałtyckie*. Jak będzie teraz, kiedy samo słowo papież przypisane będzie do innej postaci, innej twarzy – i czy nie będzie tak, jakby *drzewo* miało nie znaczyć więcej *drzewo*, tylko *dom*, *rzeka* albo *chmura*; przecież innego papieża nie znałem. Kiedy dwadzieścia cztery lata temu przychodziłem na świat nad wyraz niechętnie, kiedy sinymi z niedotlenienia ustami oznajmiałem, że raczej jestem i kiedy położne w popłochu pakowały mnie do inkubatora, zakładając się przy tym, ile pociągnę – papież Polak już był. Kiedy miałem kilka tygodni i mniej więcej

wiadomo już było, że nie umarłem – do papieża Polaka strzelał Ali Agca, śniady facet z nieśmiałym uśmiechem, którego więzienną fotografię ze spotkania z papieżem Polakiem dostałem od babci na trzecie albo piąte urodziny. *Razem z naszym papieżem Janem Pawłem* – napisane było w czerwonym katechizmie, z którego uczyłem się na pamięć przebiegu liturgii przed pierwszą komunią – i nauczyłem się na pamięć, i nawet dzisiaj, kiedy nie pamiętam już przykazań kościelnych ani liczby błogosławieństw – nawet dzisiaj, obudzony w środku nocy, na hasło: *razem z naszym papieżem* odpowiem: *Janem Pawłem.* A wkrótce po komunii, na którą dostałem czerwony magnetofon, *nasz papież Polak Jan Paweł Drugi* przyjechał na pielgrzymkę – i wciąż pamiętam łzy w oczach matki, która oglądała relacje w telewizji i śpiewała razem z pielgrzymami *Abba, Ojcze*, i która kazała mi nagrywać wszystko na mój komunijny magnetofon, bo nie mieliśmy magnetowidu. I nagrywałem, przystawiając mikrofon do głośnika telewizora, w fatalnej jakości; ale nagrywałem, dla mojej matki, żeby mogła przypomnieć sobie pielgrzymkę, kiedy tylko będzie chciała – wszystkie te kasety do dzisiaj leżą gdzieś na półce, nigdy później nie używane. Matko moja, matko, tyś

jest prawdziwą córką tej ziemi i tego narodu, tyś jest Matką Polką!

Następna pielgrzymka, którą pamiętam, była o wiele później – papież Polak był wtedy w Sopocie, a ja o sto kilometrów dalej, na pomaturalnym biwaku. Biegałem po lasach, przeskakując nad torami tuż przed przejeżdżającą lokomotywą, żeglowałem po jeziorze nie większym od balii; jadłem niewiele, paliłem skręty i za nic miałem wszystko, co było bardziej odległe od piersi koleżanek, opalających się na pomoście w białym słońcu czerwcowym, gorącym bardziej niż jakiekolwiek inne. Sto kilometrów dalej, ale przecież blisko – dosyć, żeby miejsce, w którym spędzaliśmy ten czas, znalazło się w rejonie bezwzględnej prohibicji, nakazanej urzędowo przez prezydentów, wójtów albo wojewodów, czegoś nieufających ludziom i ich właściwej, trzeźwej postawie w czasie wizyty papieża Polaka. W wiejskim sklepie roiło się od much, których truchła oblepiały zwisające z sufitu pasy lepu, a ekspedientka słuchała radiowej transmisji z hipodromu – na hasło: *poproszę dziesięć ogórków papieskich,* pakując jednak do papierowej torby puszki piwa i oddając tym

samym cesarzom, co cesarskie. Sto kilometrów zaledwie – ale jednak daleko, tak daleko, jak to tylko możliwe.

(A bierzmowanie, ten sakrament dojrzałości, dlaczego pamiętam go tak niewyraźnie? Jakieś popołudnie, maj albo czerwiec, w każdym razie ciepło; umówiliśmy się przed kościołem, paliliśmy – chyba? – papierosy, pokątnie, kryjąc się, bo rodzice mogli nadejść w każdej chwili. Nie wszyscy przecież, bo byli i tacy, którzy chodzili na oazę, kółka różańcowe, którzy na młodzieżowych mszach o dziesiątej trzydzieści wyśpiewywali dyszkantem pieśni do wtóru akustycznych gitar – oni stali osobno, uśmiechając się do siebie uśmiechami wytężonymi i pełnymi wzajemnej akceptacji. *Nigdy nie widziałem takiej obłudy* – powiedziałem do Maćka, a on machnął tylko ręką i gwizdnął na przechodzącą właśnie Piękną Magdę, która zachichotała, klepiąc się w pośladek i mrugając okiem. Pamiętam przygotowania; o, to pamiętam dobrze – kiedyśmy siedzieli w sali numer trzy, piwnicznej, pełnej stolarskich stołów i imadeł, bo też nominalnie była to sala zetpete, a pomiędzy nami miotał się ksiądz Przemysław, młody, z rzadką jeszcze

brodą, w przetartej sutannie – czy aby nie wtedy właśnie Lolo pił z gwinta wódkę wyniesioną z domu? Czy to nie właśnie wtedy Mały powiedział: *Ej, słuchajcie, spróbujmy się skirać pisakiem olejnym?* I czy to nie wtedy wdychaliśmy te opary z czarnego flamastra, aż Mariusz zbladł nagle, zerwał się i wybiegł? A on miotał się między nami, szarpał nas za włosy i groził, że nie dopuści nas do bierzmowania – i czy to nie wtedy Przemas powiedział: *i chuj,* i wyszedł, tak po prostu, a Marek z tylnej ławki mruknął całkiem głośno: *No, ja bym jednak radził przystopować, bo ksiądz planu nie wyrobi i będą kłopoty?* I czy to nie wtedy, kiedy on tak stał przy tych drzwiach otwartych i patrzał na Marka, i niczego nie mówił – czy nie wtedy pomyślałem, że jednak jest jakiś plan, są do wyrobienia normy, że tylu to a tylu ma być bierzmowanych, bo inaczej kuria objedzie proboszcza, a proboszcz katechetów? I czy to nie wtedy wkładałem ręce pod bluzkę koleżanki, a on podszedł i z góry, z rozmachem uderzył mnie w głowę zaciśniętą pięścią, aż w oczach pociemniało? I czy to nie wtedy spojrzałem na niego nieprzytomnym wzrokiem, gotów, kto wie, może zerwać się i rzucić, kto wie, może dając nam wszystkim sygnał do ataku? I czy to nie wtedy zobaczyłem ten strach w jego

oczach, kiedy nagle pojął, że właśnie mnie uderzył, że uderzył ucznia, uderzył człowieka, że właśnie przegrał wszystko, że on, ksiądz, przed momentem, w nerwach, pięścią, człowieka, przy wszystkich, uderzył? I czy to nie jego głos słyszałem kilka dni później, idąc korytarzem, zza uchylonych drzwi pokoju nauczycielskiego, czy nie jego głos zgaszony i słaby, kiedy mówił: *Nie radzę sobie, po prostu sobie nie radzę, ich jest za dużo. Czy pani mnie rozumie? Ich jest po prostu za dużo, za dużo, za dużo*).

Pusta była niedziela i próżna – a kiedy przeszedłem już po wielokroć wszystkie korytarze, wyszedłem z domu i pojechałem do miasta, i chodziłem Plantami, czasem przysiadając na ławkach, a czasem zatrzymując się przy sklepowych wystawach i straganach z pamiątkami, na Siennej albo na Szewskiej znalazłem kino – i pomyślałem, że dobrze byłoby obejrzeć jakiś film, żeby przeczekać popołudnie, ale kiedy wyciągałem już rękę, chcąc otworzyć drzwi, zauważyłem zwisającą smętnie kartkę: *Z powodu sytuacji odwołane wszystkie seanse do odwołania*. I tak – tutaj wszystko było odwołane do odwołania: kina, teatry, sklepy, muzea, ulice, chodniki,

LUDZIEEEEEEEEEE
SKŁADAM SZCZER WSPUŁ
CZUCIA WSZYSTKIM UCZCI
MY TO 1 MINUTĄ CISZY
~ MARAZ

ŻAŁOBA
~ OWCA

PRZYKRO MI SZACUNEK
~ OLSZTYN

mieszkańcy; tylko wycieczek zagranicznych turystów nikt nie zdążył odwołać, więc Japończycy w milczącym skupieniu fotografowali każdy kościół, każdą kamienicę i każdego gołębia, a roześmiani niemieccy emeryci okupowali restauracyjne ogródki, wznosząc barykady z pustych talerzy i pokali. *Wesoło im dzisiaj, psimkrwiom* – pomyślałem. *Wesoło im, psimkrwiom* – pomyślałem raz jeszcze, jak gdybym dawał sobie drugą szansę na uświadomienie własnej myśli; i udało się. *Wesoło psimkrwiom* – pomyślałem ostrożnie po raz trzeci i zrozumiałem, że nie ma stąd ucieczki, i że też jestem dzisiaj odwołany do odwołania.

A kiedy mijałem restaurację Chłopskie Jadło, polską odpowiedź na McDonalda, na wystawie której był wielki bochen chleba i pęto apetycznej, wiejskiej kiełbasy, dostrzegłem ruch i spojrzałem zaciekawiony, i przystanąłem, i spojrzałem, i zamknąłem oczy, i otworzyłem je ponownie, i jeszcze raz zamknąłem, i raz jeszcze otworzyłem, i wciąż to widziałem: kelnerka rozsuwała właśnie chleb i kiełbasę, i pomiędzy nimi stawiała ostrożnie portret papieża z żałobną przepaską. *Proszę zapamiętać: nie ma nadziei*

dla Jana Pawła II – oznajmiłem przechodzącej dziewczynie, ale nie zrozumiała.

Niemcy zjawili się o świcie. Jak zwykle. Obudził mnie telefon od Frytki: *Wstawaj, wstawaj, za godzinę spotykamy się wszyscy w Muszelce na małej integracji.* Godzinę później piłem kawę i uczestniczyłem w niemrawej rozmowie, nie mogąc powstrzymać uśmiechu, kiedy Kolja – wysoki, niebieskooki blondyn – mówił, że nie pojmuje, w jaki sposób każdy Polak rozpoznaje w nim Niemca na pierwszy rzut oka. A poza tym raczej cisza, półsłówka, uprzejme uśmiechy i przygaszenie, mimo wysiłków Frytki, starającego się za wszelką cenę doprowadzić do jakiejś interakcji. W pewnym momencie wyłączyłem się zupełnie i z letargu wyrwało mnie dopiero: *and all the situation, you know, here, in Krakow, after Pope's death* – i dalej, że teraz będą pewne utrudnienia, odwołane imprezy, być może prohibicja. Niemcy milczeli grzecznie, niezbyt chyba przekonani. *Yes, yes, I know, Pope has gone, I have read that in the newspaper in Berlin* – mówił Kolja mniej więcej takim tonem, jakby wspominał o rozdaniu Oskarów albo wyniku Ligi Mi-

strzów. *Ale to nie jest Berlin, Kolja* – pomyślałem – *sam się przekonasz.*

Po południu pojechałem do Nowej Huty odebrać notebooka, wypatrzonego wcześniej na internetowej aukcji. Zaraz za centrum straciłem orientację: autobus kluczył, zakręcał raz i piąty, aż wreszcie wjechał na rozległe blokowisko, porośnięte drewnianymi budami, wciskającymi się we wszystkie przerwy, szpary i szczeliny; jak mech rozsadza betonowe płyty, tak drobna przedsiębiorczość rozsadziła to osiedle, a po zmierzchu dnia spiżowych herosów dzierżących młoty w tych silnych dłoniach, którymi w hucie wyrabiali trzysta procent normy, nadszedł dzień nowy i zaroiło się tu od drobnych sklepikarzy, sprzedawców warzyw i hamburgerów. Przyjechałem zbyt wcześnie, więc przez kwadrans stałem obok kiosku, z wystawy którego spoglądał papież, a zza jego pleców wyglądało papieży stu – bo trzysta procent nowej normy wyrobiły przez weekend gazety i drukarnie i przygotowały już komplet specjalnych wydań wspomnieniowych: *pontyfikat w skrócie, przeżyjmy pielgrzymki raz jeszcze, najbardziej wzruszające momenty, tego nie można zapomnieć*; a później ruszy-

łem między bloki, szukając wskazanego adresu. Uliczką przechadzał się patrol policji, na ławce siedziało trzech chłopaków w dresach, spluwających od czasu do czasu na chodnik, a gdzieś w oddali facet gonił dziewczynę, która uciekała, krzycząc głośno: *ratunku!* – w żartach na pewno, chociaż, kiedy po kwadransie wracałem, niosąc komputer w plecaku, jakaś dziewczyna, może ta sama, może inna, stała przy garażach, trzymając się za policzek, a z rozciętej wargi płynęła cienka strużka krwi. Ale może tak nie było, może tylko mi się wydawało, bo kątem oka zaledwie ją dostrzegłem; może tak nie było, bo przecież tak być z pewnością nie mogło.

Autobus, którym wracałem, był wypchany niemal do granic możliwości – ale na następnym przystanku do środka wepchnęło się jeszcze kilkunastu kibiców Cracovii; i zaraz: *Ej, Siwy, kurwa, się weź przesuń, bo się wyjebię na panią zaraz*; i: *Kurwa, w dupę ci się przesunę chyba, debilu, przecież nie ma miejsca*. I śmiech. Że w dupę. Stałem przy wsporniku, starając się równocześnie osłaniać plecak bez usztywnień, w którym miałem notebooka, i portfel w tylnej kieszeni, ale w tym tłoku sięgnięcie do portfela oznaczało

dotknięcie młodej dziewczyny stojącej obok i zaczepienie ręką kieszeni jakiegoś faceta – i od razu nieprzyjazne spojrzenia, pełne podejrzeń, czy przypadkiem, sięgając do swojego portfela, cudzego nie próbuję ukraść. *Franek, chuju, ustąp pani miejsca* – krzyknął jeden z kibiców i znowu śmiech, bo przecież: *Franek, Franek, sprzedawca firanek, postrach barmanek, monter klamek, mały chuliganek*. I jeszcze: *Franek chujanek* – powiedział taki mały szczerbaty, lat może ze dwanaście, więc od razu dostał płaskiego na łeb od starszego kolegi: *Co się będziesz, gówniarzu, wyrażał, jak jeszcze nawet nigdy nie poruchałeś*. Wesoło, swojsko, niemal rodzinnie i tylko zastanawiałem się ciągle, dlaczego mecz w poniedziałek, od kiedy w poniedziałki, przecież zawsze soboty albo niedziele; *ale pewnie przełożyli* – pomyślałem – *ze względu na papieża*.

A zaledwie podłączyłem notebooka, uruchomiłem formatowanie dysku i zacząłem przerzucać zawartość szafy w poszukiwaniu płyt instalacyjnych, zaledwie naszkicowałem sobie schemat podziału dysku na partycje i spisałem oznaczenia podzespołów – to już zadzwonił Frytka, żebym wpadł do Łubu-dubu, bo będzie

projekcja wesołego węgierskiego filmu, po której możemy się wesoło napić. Pomyślałem, że potrzebuję wesołości, więc zostawiłem wszystko tak, jak leżało i poszedłem na przystanek. Zmierzchało; na przystanku stało kilkanaście osób, może dwadzieścia, może więcej – jakiś facet chwiał się pod murem podtrzymywany przez dwóch kumpli; *Janek* – mówił jeden – *Janek, trzymaj się*, a dziewczyna w beżowej kurtce wyjaśniała koleżance, że nie jedzie. *No i patrz, nie jedzie* – mówiła; i może to od tego patrzenia, ale naprawdę nie jechał. Ani ten, ani inny i tylko z dołu wspinały się regularnie autobusy, wyłaniające się zza zakrętu z wyciem silnika, przystające na chwilę po drugiej stronie ulicy i niknące za kolejnym zakrętem. Żaden nie wracał, jak gdyby gdzieś tam czaiło się ciemne Coś, co w oka mlaśnięciu wszystko połyka i nie oddaje już nigdy, a co upodobało sobie nade wszystko pojazdy komunikacji miejskiej. *Spóźnię się* – napisałem Frytce – *coś nie jeżdżą dzisiaj.* I naprawdę nie jeździły, chociaż pan Janek doszedł do siebie i ruszył z kolegami do sklepu, a dziewczyna w beżowej kurtce przestała się odzywać. Ludzi przybywało i już ktoś coś wiedział, coś usłyszał: *Wypadek był przy Krakowi i ruch wstrzymany*, mówiła jedna kobieta, druga jej na to:

A mi znowuż mówili, że policja stadion zamknęła. Ale już, już pojawił się autobus i jak kto mógł, tak wepchnął się do środka, już jechaliśmy w dół, już kierowca krzyczał koniec trasy – i już byłem na zewnątrz, i już stałem między setką kibiców Cracovii, i już myślałem niepewnie, że przecież *Lech, Cracovia, Arka, miłość, wiara, walka,* i że kibica Arki chyba w tym kotle nie zabiją.

I nie zabili. Stali w milczeniu, nieruchomo, ze stężałymi twarzami, z rękoma założonymi z tyłu, patrząc przed siebie – więc odwróciłem się także, powoli, ostrożnie, nie rozumiejąc jeszcze – i wtedy zobaczyłem światła, setki, tysiące, dziesiątki tysięcy świateł, zobaczyłem milczących ludzi, idących ramię przy ramieniu, z zapalonymi świeczkami, a znad głów unosił się dym; zobaczyłem wielką rzekę, przepływającą powoli wzdłuż Piłsudskiego i rozlewającą się na Błoniach, rzekę potężną, rzekę szeroką, rzekę milczącą. Na brzegu tej rzeki stałem, tak jak się stoi na brzegu rzeki, stałem przez długie minuty, w ciszy stałem i skupieniu – a później zamknąłem oczy i wszedłem w nią, krok za krokiem, wszedłem, aby się w niej zanurzyć, obmyć się w niej i wyjść czystym. I wtedy usły-

szałem głos, cichy i ciepły, i pomyślałem, że głos słyszę, i w głos się wsłuchałem – a głos mówił: *Ej, Elka, dzisiaj pijemy u Maćka, w sto czternaście, wpadnij z Rafałem* – i ocknąłem się na mieliźnie.

Szedłem Piłsudskiego, Straszewskiego, Plantami, szedłem ludziom naprzeciw, pod prąd, ale tak, jak gdybym z prądem szedł, nieśmiało i nieznacznie, żeby moje *pod prąd* nie było wyzywające – lecz próżny był to trud, bo wyzywające było; i na nic moja nieznaczność, kiedy wszystko tu było tak znaczące, na nic ukrywanie się w cieniu, gdy płonęły świec setki i coraz to nowe, migotliwe światło wydobywało mnie z mroku, coraz to nowa twarz spoglądała na mnie. I kiedy widziałem, ilu ich, i czułem siłę i czas – czy to było złudzenie tylko, imaginacja, czy wzrok ich był surowy? Czy to ułuda tylko, czy miraż, mara, sen niedobry, czy wzrokiem ciężkim spoglądali na mnie? I skąd wzięło się to wrażenie, że w pospiesznym rytmie moich kroków pobrzmiewa: *ten z nami, ten przeciw nam*, a w ich powolnym marszu dźwięczy: *kto sam – ten nasz najgorszy wróg*? Czy to tylko złodziejskie sumienie, które każe rozglądać się nerwowo, bo przecież ktoś może widzieć – czy to prawda była, czy

JANIE PAWLE WIELKI BYŁ
EŚ ANIOŁEM ZESŁANYM
PRZEZ WSZECHMOGĄCEG
O I UZDROWIŁEŚ PLANET
Ę ZE ZŁA

~RAFAŁ

NIE! TYLKO NIE TO!
BUUUUUUUUUU :(

~POP

rozstępowali się w ostatniej chwili, jak gdyby wpuszczali mnie tylko głębiej, głębiej, skąd już nie będzie ucieczki?

Do Łubu-dubu trafiłem po godzinie. Wszyscy siedzieli już w sali kinowej, oprócz Jasia, który też się spóźnił. Kupiliśmy piwo, paliliśmy papierosy, niby o czymś rozmawiając – że ceny wysokie, że piwo smaczne, a papierosy wonne – ale brakowało nam puent, więc w końcu powiedziałem, że tam byłem i szedłem ludziom naprzeciw, i widziałem ich wzrok, a on powiedział, że tu tak jest, w Krakowie. I jeszcze dodał: *Ja tutaj byłem, w Łubu-dubu, jak papież umarł. Na imprezie. Wiesz, to było takie... Wszyscy się bawili i nagle muzyka się urwała, a didżej powiedział, że papież właśnie umarł. I że teraz będzie dziesięć minut przerwy. Nie wiedzieliśmy, co robić, więc wyszliśmy, bo nikt nie wiedział, co robić, i wszyscy wychodzili; i poszliśmy pod kościół. I tam staliśmy przez chwilę. I tak, wiesz. Nie wiadomo zupełnie było, co powiedzieć.*

Wtedy seans się skończył i już wiadomo było, co mówić: że tu, że ten, że tego – więc siedziałem z Andreą, Frytką i Jasiem przez

godzinę albo dwie, a później wstaliśmy i wyszliśmy, i żegnaliśmy się, a później wsiadłem do taksówki i zamówiłem kurs. *Tak, tak* – powiedział taksówkarz, wykręcając starym polonezem – *i o czym to świadczy, proszę pana? O czym to świadczy?* Spojrzałem niepewnie, bo może o adres mu chodziło, może źle podałem czy coś; albo może o to, że żałoba, a ja taki trochę jakby zawiany, doświadczony już dzisiaj, ale nie powiedziałem niczego, na wszelki wypadek. I słusznie wybrałem – bo nie o odpowiedź mu szło, a tylko o nabranie rozpędu: *O czym to świadczy, proszę pana? To, co się dzieje, proszę pana, w tym kraju? Nie teraz, tak ogólnie. Pan wie, co teraz będzie, kiedy zabrakło tego świętego człowieka? Ho, ho, proszę pana. Teraz to już tylko będzie jeden, panie, Żyd* – a tego *Żyda* wymówił tak, jakby nie z trzech liter składało się to słowo i nie jedno żet miało na początku, ale pięć co najmniej – *i jeden mason. Sprzedawczyki, panie. Tacy nami rządzą. Do tej pory się bali, a teraz się, panie, zacznie. Wszystko, panie, przez Okrągły Stół – jeden Żyd i mason, panie, Żyd, mason i ubek. A ten wąsaty, pan myśli, że kto on jest? Stary ubol, panie! Do stoczni motorówką go przywieźli.* Tu nie wytrzymałem, bo przecież Trójmiasto, bo Stocznia, bo *w Gdańsku się wszystko zaczęło,* bo *na drzwiach ponieśli* i tak dalej. *Był pan tam?*

Widział pan to? Aż przyhamował i spojrzał na mnie, jak gdyby chciał mnie wyrzucić tutaj, w połowie drogi. *Panie, co to w ogóle znaczy: czy ja widziałem? Ja nie musiałem widzieć, panie. Byli tacy, co widzieli. Trzeba czytać dobre gazety. Dobrych mediów trzeba słuchać. Tam o tym piszą i mówią. Tam się można, panie, dowiedzieć, jak to było naprawdę. Panie! Ja panu dobrze radzę – niech pan słucha dobrych mediów, póki jeszcze czas!*

We wtorek udało mi się uruchomić notebooka i skonfigurować sieć. Tego miało nie być, to nie miało być tak – przyjechałem tu właśnie dlatego, żeby odciąć się od sieci, żeby się wylogować, rozłączyć, przejść w offline i zostawić za sobą blogi, komunikatory, maile, fora i w ogóle wszystko to, co wciąga, rozprasza, wysysa, wyniszcza. To nie tak miało być; miałem zaraz po przyjeździe wyrwać kabel ze ściany, odkręcić gniazdko, miałem znaleźć notebooka bez portu sieciowego, unikać kafejek internetowych; miałem wybrać czerwoną pigułkę. A jednak skonfigurowałem sieć, zainstalowałem przeglądarkę i zajrzałem, najpierw tu, później tam – i pociemniało mi w oczach, tak pomyślałem, a później – że ekran jest uszkodzony; zapła-

ciłem za kolorowy, a dostałem czarno-biały. Sieć była bowiem czarna. Czarne były portale, z kokardkami czarnymi na widocznym miejscu, czarne były blogi, czarne fora i banki także były czarne. I czarne strony logowania broniły dostępu do informacji o aktualnie posiadanych środkach, do wyciągów z rubryką stanu konta: tyle a tyle polskich złotych – złotych jeszcze niedawno, teraz pewnie czarnych. Wszystko było w żałobie, wszędzie księgi kondolencyjne, czarnymi literami na tle niemal czarnym można było wpisać dwa zdania od siebie; czarne nagłówki newsów donosiły o żałobie na świecie, o przygotowaniach do pogrzebu, reakcjach, oddźwiękach i Fidelu Castro, który po śmierci papieża, gładząc czarną brodę, poszedł do kościoła, po raz drugi w życiu – i ogłosił publicznie, że łączy się w żałobie, i że papież zawsze popierał Kubę, a Amerykę krytykował, o czym trzeba pamiętać.

Wszystko było czarne – czarne były portale, a w czarnych portalach czarne były czaty, ten czterdziestolatków, ten ogólny, krakowski, wrocławski; na tych czarnych czatach wciąż tliło się życie: ktoś się przekomarzał, kto inny pytał, gdzie znajdzie dobry sklep z butami, więc

chociaż niemrawo, ale przecież jednak padały adresy w tych otoczkach czarnych: *Królewska 12 – bardzo miła obsługa, Jaworowa 8 – duży wybór rozmiarów, znajdziesz coś dla siebie*. Krakowski był czarny, wrocławski i łódzki, czarny był erotyczny – i na czarnym czacie erotycznym Zbyszek27 czarnym pytał głosem, czy jest tu jakaś dziewica, której mógłby wylizać stopy. I nie tylko stopy. *Najlepiej brunetka. Sponsoring niewykluczony, mam klasę, jestem biznesmenem. Dyskrecja i higiena to moje zasady. Napisz do mnie, maleńka, a nie pożałujesz.*

Wszystko było czarne – czarne były blogi, które przeglądałem, nie mogąc się nadziwić: tu trzy kropki, tam znicz, tam pięć pustych linijek, ówdzie czarny prostokąt zamiast zdjęcia. I gdzie się podziały – pytałem sam siebie – niegdysiejsze wpisy, gdzie te fotografie, na których młode autorki wydymały usta, gdzie zdjęcia drogich perfum, odtwarzaczy CD, pigułek anty, używek pro? Gdzie podziało się to wszystko, ten kolorowy jarmark pozłacanej tandety, konsumpcyjnych relikwii, gdzie te pieczołowicie gromadzone dowody na fajność swojego życia, na bycie instajli? Zniknęło, gdzieś w dole strony.

Teraz – czarne prostokąty. Teraz ta lepsza, ten lepszy, którego prostokąt większy i czarniejszy, po kim widać wyraźniej, że dziś płacze. *Dzisiaj płaczę* – napisała trzeciego kwietnia ta sama dziewczyna, która dwudziestego siódmego marca notowała: *Rżnęliśmy się w kiblu jak zwierzęta, jak szaleni – jęczałam i nie obchodziło mnie, że ktoś to słyszy; jechałam taksówką wciąż wilgotna od jego spermy. Godzinę później miał się spotkać z żoną; ciekawe, czy mnie poczuła na nim, czy poczuła zapach prawdziwego spełnienia.* Takie to spełnienia były jeszcze w marcu, a dziś ona płacze, dziś płacze ta nasza MariaMagdalena małpa blog kropka pe el; a inna znowu, która ma chyba w aptece jakiś abonament na wczesnoporonne, przynajmniej od kiedy... *Ale o tym nie mówmy* – powiedziała mi kiedyś, spuszczając oczy w teatralnym geście: ta zostawiła wolne miejsce. Pięć pustych linijek. Znaczy – brakuje słów w języku, którymi można by oddać, co czuje i co myśli. W co mogę uwierzyć.

Wszystko było czarne – i w czarnym Internecie ktoś w czarnej gazecie napisał, że w Polsce nawet ptaki płaczą po śmierci papieża, a na czarnym blogu zespół hip-hopowy zamie-

ścił oświadczenie: *My jako ludzie którzy bardzo kochali kochają i będą kochać największego człowieka czyli papieża składamy hołd bo było to dla nas bardzo bolesne przeżycie i nikt z nas nie mógł dojść do siebie po śmierci największego dlategoteż do piątku nie bedziemy nagrywali tylko się modlili jest to największy człowiek w historii który oddał siebie w rece Jezusa i głośnił przykazanie głosił prawdę zrobił wiele był to człowiek który zrobił najwięcej w dziejach ludzkości a jeśli chce ktoś się zbliżyć poprzez muzykę do naszego Ojca Świętego to polecamy ulubioną pieśń Karola Wojtyły pod tytułem „Barka" i nie ma słów jakimi by można było by określic tego niesamowitego człowieka poprostu był jest i będzie to największy wzór człowieka który kiedykolwiek istniał i piękne jest iż oddał sie w rece pana Boga pisząc te słowa mamy łzy w oczach więc chwalmy Pana*. I tak chwalił Pana ów zespół hip-hopowy, ale przecież byli tacy, którzy płakali jeszcze mocniej, i którzy w swej rozpaczy przeszli granice ostatnie – i to pewnie jeden z takich właśnie napisał w księdze kondolencyjnej literami wielkimi i czarniejszymi od innych komunikat ostateczny, wyznanie terminalne: *W TAKICH CHWILACH JAK TA MYŚLĘ, ŻE BOGA WCALE NIE MA.*

Z czarnego Internetu wpadłem w jasność kuchni, w której trwała integracja – w międzyczasie zjechali Ukraińcy, ktoś przyszedł, ktoś przyjechał odwiedzić – i teraz cała Europa Środkowa siedziała przy stole, próbując uprzedzić prohibicję, już zapowiedzianą. *I can't understand it* – powiedziała Ariane – *in Germany, when we want to show our sorrow, we often listen classical music and I were in Cracow today, because I wanted to visit one classical concert, but it was cancelled. I just can't understand.* Zapaliłem papierosa, próbując sobie przypomnieć, czy umiem mówić po angielsku i starając się zgadnąć, jak jej wytłumaczyć najlepiej, żeby nie urazić – i w końcu wykrztusiłem tylko, że jednak żałoba, że mimo wszystko, że do Bacha się wprawdzie nie tańczy, ale jednak ten czas ma być czasem skupienia. Tu urwałem, bo przed oczami stanęła mi sieć czarna i pomyślałem, że może to nawet lepiej by było, że niechby oni tego Bacha słuchali, zamiast. Ariane nie wyglądała, jak gdyby *understood* moje wyjaśnienia, ale wkroczył Frytka, powołując się na lokalną specyfikę i chyba to w końcu ją przekonało. Ja odwróciłem się do Hałyny: *Słuchaj, powiedz mi, jak to jest, czy nie jest tak trochę teraz u nas, jak u was było w czasie rewolucji? Że wiesz, że ludzie razem, że jednak jedność, że pewne różnice, ale wspólne czucie?*

SWOIM ŻYCIEM ZASŁUŻYŁ
SOBIE NA TO BY OD RAZU M
IANOWANO GO ŚWIĘTYM JE
GO ŚMIERĆ BYŁA NAJWAŻNI
EJSZYM WYDARZENIEM NAS
ZEJ ERY OPRÓCZ UKRZYŻOW
ANIA CHRYSTUSA JAN PAWEŁ
II BYŁ WSPÓŁCZESNYM JEZUS
EM CHRYSTUSEM

-RODZINA

I czy to nie tak, że Niemcy nie zrozumieją, a tylko Słowianie, jak to jest w porywie uczuć zerwać się i stanąć murem, że brat bratem bratu i obcy człowiek bratem, kiedy w słusznej sprawie? Ale ona tylko zmrużyła oczy i skrzywiła się. *Wiesz co, Piotr? Ja nie wiem. U nas było inaczej. Myśmy wszyscy tam stali, ja tam także stałam, ale myśmy walczyli – walczyli o coś. Myśmy mieli jakiś cel, my chcieliśmy coś zdobyć. A u was jest tak inaczej. Jest wielkie ruszenie, ale celu nie ma.* Tak mówiła Hałyna, a że już coś wcześniej, coś przechyliłem, opróżniłem, trochę wina, wódkę, to lęgła się we mnie zła złość i patriotyzm wyrastał bujnymi kłączami – że tak, oczywiście, jedni nie rozumieją, drudzy celu nie widzą, celów im brakuje: *Ślady rysich pazurów* czytałem, więc znam te ich cele; tamci też nie rozumieli w trzydziestym dziewiątym, jak można się oburzać na pomysł z korytarzem i też im wtedy grała klasyczna muzyka. I jak siedziałem, tak wstałem i podszedłem do Mehmeda, który był tu w gościach jako chłopak Hałyny, urodzony w Algierii chyba, ale w Polsce rok dziesiąty, albo i jedenasty, studia, praca, życie... i powiedziałem: *Mehmed, mnie to bardzo ciekawi, ty jesteś urodzony i wychowany w całkiem innej kulturze, ale też spędziłeś tutaj tych lat dziesięć albo jedenaście i Polskę już znasz; co ty o tym sądzisz, o tej żałobie, o tych wszyst-*

kich zrywach, marszach, świeczkach, o powtarzaniu w kółko pięciu raptem zaklęć, o makatkach na ścianie, o oklaskiwaniu spójników, ale usuwaniu ciąży, jeśli się przydarzy, o tych wszystkich wydaniach specjalnych z tysiącem barwnych fotografii i spisem tytułów encyklik na ostatniej stronie, bardzo drobnym drukiem w prawym dolnym rogu? Co ty o tym sądzisz i jak to odbierasz? Spojrzał na mnie szybko, z jakimś dziwnym lękiem, tak jakby spłoszony i wyrecytował: *Polska to jest piękny, piękny kraj, Polacy są bardzo mili, a papież był wielkim człowiekiem.*

A kilka przechyleń i opróżnień później, kiedy tłumaczyłem Frytce, że jestem polskim patriotą: *Rozumiesz, polskim patriotą, to znaczy, że budzę się rano, patrzę przez okno i chce mi się rzygać, przez cały dzień chce mi się rzygać, kiedy widzę syf na ulicach, blokowiska, pijane mordy jednych i chytre oczka drugich i czasem marzę o tym, żeby to wszystko spalić, a później zaorać i przysypać wapnem, niegaszonym – i dopiero jak się odleży, to budować od nowa; ale niechby ktoś podniósł na ten kraj rękę, to bez namysłu chwyciłbym za broń, a gdyby broni nie stało, to z gołymi rękami rzuciłbym mu się do gardła* – wtedy właśnie odezwała się jakaś dziewczyna, chyba Niemka, ale nie pamiętam, pewnie malarka, pianistka

albo ktoś taki, z innego programu stypendialnego, albo może w odwiedzinach. *Well, I cannot understand one thing* – powiedziała wysokim, nieprzyjemnym głosem – *tomorrow or maybe on Friday there will be a big march for pope, yes? So isn't it a great opportunity to demonstrate something? For example: to demonstrate our acceptance for abortion. I think it's a great idea to make some banners and stand there, all this people will just have to read it and to think about the sense of it* – i spojrzeliśmy na siebie z Frytką szeroko otwartymi oczami, na bezdechu, w nagłym osłabieniu. *Powiem ci* – wywarczałem wreszcie po polsku – *powiem ci, że zawsze mnie ciekawiło, dlaczego o prawo do aborcji najgłośniej drą mordy te wszystkie baby, które, na oko sądząc, nie powinny mieć żadnego problemu z niechcianymi ciążami.*

(Trzy lata wcześniej pojechaliśmy na Przystanek Woodstock – Andrzej, Wojciech, ja i jeszcze parę osób w tej samej ekipie, ale my bardziej razem niż z nimi. Pociąg już w Gdyni był wypchany po dach, więc, chcąc nie chcąc, chociaż bardziej chcąc, oczywiście, znieczulaliśmy się przez całą noc i na pole doszliśmy na ostatnich nogach, a namiot rozbijaliśmy, przewracając się ze zmęczenia, po czym oni zasnęli, a ja nie, cho-

ciaż próbowałem. A później oni się obudzili, a ja zasnąłem, a później wszyscy poszliśmy pić, i piliśmy przez cały dzień, i tak jakoś zeszło. Drugiego dnia rano przeliczyliśmy pieniądze i okazało się, że zostało nam na ledwie kilka piw, a tu dzień cały i noc, i powrót – więc powlekliśmy się brudni przed siebie w upiornym upale, bo ktoś powiedział, że w mieście można kupić wino spod lady, a jak dobrze się zakręcić, to i wódkę; bo chociaż prohibicja i zakaz, to jednak wolny rynek i polska przedsiębiorczość. Szliśmy asfaltową drogą, później przez sad, wspinaliśmy się po murze, czy może przechodziliśmy przez ruiny, aż wreszcie dotarliśmy do miasta, po którym snuły się i w którym spały na chodnikach dziesiątki takich jak my. Wina nie było, w ogóle niczego nie było poza piwem; całe szczęście, że wzmocnionym, zawsze to kilka procent więcej, co się przekłada na jakieś ułamki promili czystego zysku we krwi. Kupiliśmy, ile się dało, połaziliśmy trochę to tu, to tam, to pośpiewać z kimś, to pogadać – aż wreszcie usiedliśmy w jakiejś bocznej uliczce na krawężniku. A tam obok siedziały one dwie, młodziutkie takie, ładniutkie całkiem, jedna bardziej na czarno, druga bardziej dziecko-kwiat, więc mrugnąłem do Wojciecha albo może Andrzej mrugnął do

mnie, albo może mrugnęliśmy między sobą, w każdym razie ktoś tam rzucił: *Cześć dziewczyny*, one zaraz: *Hej, hej, skąd jesteście*; więc my, że z Gdyni, one, że z Wałbrzycha. My, że *hej dziewczyno, chodź na wino*, one, że nie, dziękują, ale posiedzieć, porozmawiać, czemu nie, my na to szybkie porozumienie bez słów, że są tylko dwie, więc każdy próbuje na własną rękę, ale jak któremuś się uda i okoliczności będą sprzyjające, w sensie, że panna nadal chętna, to obstawka przy gwizdku, pomóż koledze, usuń się grzecznie, niech teraz on sobie używa, a wtedy one powiedziały, że czekają na przyjaciół. Czyli po zawodach; niechby na przyjaciela, to przynajmniej jedna byłaby wolna, ale nie, przyjaciół, dwóch co najmniej i o dwóch za dużo. Więc rozluźnienie przyszło, wiadomo było, że już nie trzeba się spinać i tylko pogadać pozostało – i rozmawialiśmy o czymś tam, jakieś okolicznościowe dowcipy sypaliśmy z rękawa, a potem przyszli ci ich przyjaciele, Adam i Przemek, ręce sobie podaliśmy, papierosami się poczęstowaliśmy, miłość, przyjaźń, muzyka – i wtedy zza rogu wyszedł ksiądz, właściwie kleryk, niewiele starszy od nas, jeśli w ogóle, w sutannie ciężkiej, spocony, zziajany; więc ktoś tam, Wojciech chyba, rzucił: *Nie za ciepło wam w tych sutannach?*,

ktoś zaśpiewał: *Oto jest dzień, oto jest dzień, który dał nam Pan*, a on zapytał: *Można?*, usiadł przy nas i: *Cześć, jestem Maciek* – powiedział, więc też zaczęliśmy się przedstawiać: *Ania, Ola, Adam, Przemek, Andrzej, Wojciech, Piotr, cześć, cześć, bardzo nam miło, ależ dzisiaj upał, a skąd to, a jak tam* i tak dalej. A potem na chwilę zapadło milczenie i pewnie powiedziałby: *a może się pomodlimy* albo coś takiego, ale zamiast tego Adam rzucił: *Wczoraj jeden z twoich kolegów pobłogosławił mnie słowami „spierdalaj stąd"* i atmosfera od razu zgęstniała. *A dlaczego?* – zapytał ten kleryk, przeczuwając chyba, że czeka go długa dyskusja. *Bo jestem gejem* – powiedział Adam. I jeszcze, że u siebie w Wałbrzychu ma spowiednika i stara się własną drogą podążać do Boga, i że nie rozumie, dlaczego jedna miłość jest dobra, a inna zła; i wtedy się zaczęło na dobre, bo Andrzej zapytał, czy jest takie przykazanie jak: *nie będziesz bolcował bliźniego swego*, a Wojciech – czy święty Piotr, jak wpuszcza do raju, to sprawdza integralność zwieraczy. Te dwie też zaczęły fukać i prychać, że miłość to miłość, miłość jest piękna i jeżeli dwie osoby się kochają, to co za różnica, czy są różnych płci, czy nie. Kleryk Maciek spocił się jeszcze bardziej i pomyślałem, przechylając butelkę, że właśnie przechodzi na-

prawdę trudny sprawdzian, prawdziwy test na odporność dla kleryków i że mu nie zazdroszczę, bardzo nie zazdroszczę; a wtedy on zaczął mówić o ciężkim doświadczeniu przez Boga i o tym, że niektóre skłonności są dobre i należy je rozwijać, a inne – nie i że jeżeli ktoś rodzi się na przykład zabójcą, to znaczy, że został przeznaczony do ciężkiej próby i od niego zależy, jak przez nią przebrnie. A oni od razu, że *jak można w ogóle tak porównywać*, ktoś się poderwał, ktoś przysunął bliżej, i nagle okazało się, że gdzieś pomiędzy nami wyrosła niewidzialna barykada i że po jednej stronie jest katoliczka Ania, katoliczka Ola, katolik Adam, katolik Przemek, katolik Andrzej i katolik Wojciech, a po drugiej kleryk Maciek i niewierny Piotr, który dokończył swoje piwo i powiedział: *Słuchajcie, on ma rację, zrozumcie to, on nie może inaczej. Trzecia księga Mojżeszowa, list świętego Pawła; zakazane są wszelkie stosunki uniemożliwiające prokreację, jak jesteście katolikami, to musicie to przyjmować i nie ma miejsca na dyskusje*. Ale już ktoś mi przerwał i dalejże o konieczności wprowadzenia reform, że celibat to wymysł, że równe prawa dla gejów, kobiety na kapłanów, że czas na zmiany. Trzy godziny tak siedzieliśmy w słońcu, na spękanym chodniku, pijąc ciepłe piwo – on nie pił, więc gardło mu

schło coraz bardziej i pod koniec chrypiał już, przełykając nerwowo powietrze. Rozstaliśmy się w zgodzie niby, w miłości i przyjaźni, ale bez muzyki i bez wymieniania się adresami; a kiedy wracaliśmy na pole, zrobiło się parno i duszno, raczej między nami niż dookoła, bo nikt nikogo chyba nie przekonał, a oni wszyscy przypomnieli sobie nagle, że wierząc w niebo, muszą wierzyć i w piekło; i że nie wiadomo, dokąd im bliżej z tego miejsca).

Rano wróciłem do sieci. *Kibice zawarli zgodę dla papieża* – przeczytałem i przez moment było jakieś drżenie w dłoniach, kiedy zrozumiałem, dokąd oni jechali, ci chłopcy z Nowej Huty, i dlaczego tak stali, wtedy, w poniedziałek, dlaczego wśród szalików biało-czerwonych migały niebiesko-czerwone – i nic się nie działo, nikt nikogo nie bił pięścią w twarz, nie przeciągał nożem wzdłuż pleców i nikt przed nikim nie uciekał w rozpaczliwym biegu wzdłuż zaułków i bram. I przez moment było drżenie, że oto stałem się świadkiem cudu, a później przed oczami stanęli mi Dulas, Rudy i Dziku, Morowy i Grucha, Łysy, Kałasz i Suchoj i wyobraziłem sobie, jak zawierają zgodę z kibicami Lechii, Śląska

i Wisły, jak rezygnują z ustawek i walk na sopockim motocrossie – i stali tak, na tym obrazku, zdumieni, popatrując na siebie niepewnie, jak gdyby próbowali odgadnąć, co z tym zrobić dalej, czym się zająć w życiu, jaki cel sobie znaleźć, jaką wybrać drogę. Tak kończą się cuda – sprawdziłem jeszcze fora, na których pisano: *pokój dla papieża*, ale już ktoś dodał: *wszyscy łączymy się w żałobie, ale to nie może trwać wiecznie,* a kto inny: *wkurwiają mnie te dziennikarskie akcje, prawdziwy fanatyk za klub walczy i ginie*; i wreszcie to wyznanie radości kibica: *Wisła i Craxa razem dla papieża, nareszcie zjednoczone* – pisał ktoś – *razem napierdolimy całą Polskę. Kraków, Kraków pany.*

Po drodze do miasta zauważyłem Kolję – trudno było go przeoczyć, bo wyróżniał się z tłumu ludzi idących pod górę: wysoki, jasnowłosy, z aparatem w dłoni. *I saw a lot of people in this big area near the stadium* – powiedział – *a lot of. There was a ceremony, some demonstration or something.* I urwał, jakby czekał, aż mu wyjaśnię, co widział. *Yes, yes* – powiedziałem – *there was a mass, a service, I don't know the word in english. Die Messe. Or something* – dodałem jeszcze, jak gdybym usprawiedliwiał się, że chociaż miejscowy,

w każdym razie – bardziej miejscowy niż on, a nie wiem, co się działo na Błoniach. *And I saw a lot of cars with black ribbons on the radio antennas* – powiedział – *do you know what are these ribbons? Is it connected with bereavement?* Rozejrzałem się: wszystkie przejeżdżające samochody szeleściły łopoczącymi, czarnymi wstążkami. *You know* – wyjaśniłem – *it's old tradition in Poland. Years ago in the countryside people used to put black ribbons in horses' hair on the funerals.* Pokiwał głową. Wieczorem spotkaliśmy się w kuchni – siedział przy stole z grymasem twarzy przywodzącym na myśl jedynie człowieka bardzo głęboko zdumionego, który w dodatku przez cały dzień chodził z kamykiem w bucie; *Some beer?* – zapytał, wskazując nieotwartą jeszcze butelkę. A kiedy skinąłem potakująco i usiadłem naprzeciwko, dodał z jakimś wahaniem: *You know, Piotr, my grandfather was from Poland. It was a strange family history, some kind of secret. Nobody told me until my eighteenth birthday. So, I am Pole in some part and... And what do you think – should this fact help me in understanding this situation?*

(Tamtego dnia wieczorem byliśmy na koncercie i Owsiak krzyczał: *Miłość, przyjaźń, mu-*

zyka!, a tłum czterystutysięczny odkrzykiwał: *Miłość, przyjaźń, muzyka!*, Owsiak: *Rokendrol!*, tłum: *Rok-end-rol!*, Owsiak: *Wy jesteście pokoleniem Woodstock, wy zmienicie ten kraj!*, a tłum na to oklaski i owacje i wszyscy czuli się pokoleniem Woodstock, które zmieni ten kraj. Rano poszliśmy na dworzec przez pole parujące moczem, którego ciężki, słodkawy zapach wywoływał mdłości – jak okiem sięgnąć, wszystko zasłane było śmieciami, w których gdzieniegdzie spali pijani, czasem leżący na trawie z szeroko rozpostartymi rękami, czasem zwinięci w kłębek w rzygowinach, a czasem leżący na drodze, twarzą do ziemi, jak martwi rewolwerowcy. Przy jednym takim klęczała kobieta z brudnymi włosami i krzyczała: *Nie na dziobaka, kurwa, nie śpij na dziobaka, idioto* – i to byłoby całkiem śmieszne, gdyby nie ten potworny smród, gdyby nie gruba warstwa brudu na całym ciele, we włosach, pod paznokciami, i gdyby nie te nieprzespane noce. Gdzieś za Poznaniem udało mi się wreszcie usiąść na podłodze, chociaż nogi miałem na zewnątrz wagonu; i przysypiałem tak na krótkie chwile, ale śniło mi się tylko, że śpię i że przez sen prostuję nogi, i urywa mi je pociąg jadący z naprzeciwka, więc budziłem się natychmiast. A później, żeby nie zasnąć, zacząłem rozmawiać z

dziewczyną, która siedziała obok. Była z Bydgoszczy albo może Inowrocławia; powiedziała: *No i wiesz, było zajebiście, co nie; pierwszego dnia załapałam zwałę, normalnie padłam, film mi się urwał, ale następnego kopnęliśmy się do miasta po wódkę, co nie, bo samymi browarami ciężko się najebać, co nie, a tam wódki nie sprzedają; jaka zwała, sam powiedz. Ale i tak kocham Woodstock, tam jest po prostu zajebisty klimat, zajebisty, będę przyjeżdżać co roku do końca życia*. A ja zacząłem się nagle śmiać i nie mogłem przestać, więc ona się obraziła i zapytała, czy jej nie wierzę, a ja powiedziałem, że nie, skąd, wierzę jak najbardziej, tylko się śmieję, bo ona tak wesoło i śmiesznie to opowiada, i w ogóle bardzo, bardzo fajnie jest, bardzo fajna jest, i ma duży talent do opowiadania, i jeszcze parę takich rzeczy powiedziałem, żeby było miło nam spędzać razem kolejne minuty w tych otwartych drzwiach, ale co chwila zaczynałem się śmiać znowu, bo przypominało mi się, jak on stał na tej scenie i wrzeszczał: *Wy jesteście pokoleniem Woodstock, wy zmienicie ten kraj*, i jak on w to bardzo wierzył, i jak my wszyscy wierzyliśmy przez chwilę).

W nocy odezwała się siostra. *Stary* – napisała *– nawet nie wiesz, jak masz dobrze, że wyjechałeś, bo matka po pracy przychodzi, włącza wszystkie telewizory w domu i co kwadrans zanosi się szlochem. Wczoraj przyniosła wielki portret papieża, dzisiaj wykupiła z kiosku cały stos wydań specjalnych, mnie już wyzwała od bezbożniczek, bo się nie umartwiam i nie chodzę na marsze milczenia, a poza tym w wolnych chwilach buduje na wszystkich stołach i parapetach ołtarzyki: tu papież, tam Miłosierdzie Boże... Czekaj chwilę, bo mnie woła.* I dalej, po chwili: *Teraz usłyszałam, uważaj, cytat będzie: „A ta gnida, Ali Agca, ma czelność prosić o przepustkę na pogrzeb papieża!"; ale uciszyła się trochę, jak jej powiedziałam, że przecież papież mu przebaczył, więc niech i ona przebaczy chociaż trochę. Mówię ci, stary, staaaaary, ciesz się, że cię tu nie ma. Poza tym jechałam dzisiaj kolejką, naprzeciwko dwie dewoty, takie pod trzydziestkę, bez pytania wiadomo, że stare panny i jedna czytała Biblię, druga coś tam z ewangelizacją w tytule, obie trzymały te książki wysoko, żeby nikt nie przeoczył, co czytają; i wiesz – smutek na twarzy, czarne wstążki na ubraniach, martyrologia w oczach, ale mnie o mało co wzrokiem nie zabiły, tylko dlatego że w czerwonej kurtce byłam, a nie na czarno, chrześcijanki od siedmiu boleści. Idę spać, bo się zdenerwuję, a ty nie chlej ciągle, tylko jedz porządnie i mięso sobie jakieś zrób od czasu do czasu.*

Buziaki. Zgasiłem papierosa i odpisałem tylko *dobrej nocy, bez odbioru, over,* ale to nie był koniec, bo w tej samej chwili zadzwonił telefon. Byłem pewny, że to Frytka, więc od razu powiedziałem: *No cześć* – i dobrze, że nie dodałem żadnego *znowu pijemy?*, bo z drugiej strony rozległ się głos matki – zupełnie zapomniałem, że dałem jej ten numer. *Co tam, synku?* – zapytała i od razu wiedziałem, że nie o *co tam* pytała, ale że zapowiada się jakaś poważna rozmowa, więc: *nic takiego* – powiedziałem. *Siedzę w domu, bo odkąd ów stary człowiek umarł...* Co było nierozsądne, bo od razu: *Jak możesz o nim tak mówić?!* – i nie było to pytanie, ale najcięższe oskarżenie: *Ty już chyba w ogóle nie masz ani sumienia, ani rozumu.* Siedziałem na podłodze, kiwając miarowo głową i czekając tylko na dobrze znany ciąg dalszy: *I żebyś wiedział, że nigdy nie zapomnę, jak wyśmiewałeś się z jego wierszy, a żebyś wiedział, że ani ty, ani ci wszyscy pijaczkowie nigdy nie napiszecie niczego, co by się chociaż umywać mogło* i tak dalej, i tak dalej. Dostałem te wiersze kiedyś na Wigilię, nie pamiętam już nawet, co to było, ale chyba „Tryptyk rzymski". Na pierwszej stronie zaczynał płynąć górski strumyk i płynął, i płynął, i płynął, przez nierówny teren najwidoczniej, bo rytm gubił się co chwila, a wielokropków było więcej niż kropek

i przecinków razem wziętych. I płynął strumyk, płynął, a podmiot liryczny wędrował ku jego źródłom i byłem pewny, że źle się domyślam, bo to niemożliwe, żeby ta metafora była tak przewidywalna, i dopiero po piątym pytaniu *gdzie jesteś, źródło?* przestałem mieć nadzieję, że może chodzić o coś więcej niż tylko zestawienie źródła ze Źródłem. *Gdyby to wiersze decydowały o pozycji w hierarchii kościelnej, to Twardowski byłby prymasem, a Karol Wojtyła w najlepszym wypadku proboszczem* – powiedziałem nieopatrznie przy stole i właśnie wtedy pierwszy raz usłyszałem ten fragment o umywaniu się i o wszystkich tych pijaczkach, pożal się Boże, poetach. Następny raz był – chyba – kiedy jakiś profesor zaproponował wysunięcie kandydatury Jana Pawła II do literackiej Nagrody Nobla, podkreślając przy tym, że zdaniem Miłosza jest to wielka poezja – a ja zauważyłem znad talerza, że Miłosz powiedział raczej, że w „Tryptyku" czytelnik, skupiając się na treści, zapomina o formie, co było wyjątkowo zgrabnym sposobem udzielenia jedynej bezpiecznej odpowiedzi na niewygodne pytanie. A później jeszcze kilka razy.

(Po zajęciach chodziliśmy często we trójkę na piwo – Kacper, Bartosz i ja. Po drugim albo trzecim, kiedy choćby na moment zalegała cisza, Kacper zamyślał się takim zamyśleniem nieco pijanym i, patrząc gdzieś w przestrzeń spod swojej wełnianej czapki, którą nosił chyba nawet latem, mówił: *Ja na przykład staram się być dobrym człowiekiem i to mi się chyba udaje, to znaczy, nie mam pewności, ale takie mam poczucie wewnętrzne, że jednak tak, że jestem dobrym człowiekiem*. Wymienialiśmy wtedy z Bartoszem znaczące spojrzenia, bo scenariusz tej rozmowy przerabialiśmy wielokrotnie i jej cały przebieg znaliśmy na pamięć – wystarczyło tylko ustalić, który z nas odezwie się pierwszy. *No dobra, ale co to znaczy, że jesteś dobrym człowiekiem?* – pytałem na przykład, takim tonem, jak gdybym rzeczywiście z głupia frant pytał, a nie zastawiał właśnie pułapki – *jak jesteś dobrym człowiekiem, to znaczy że co?* I on nigdy nie wyczuwał podstępu, nawet za dwudziestym razem nie orientował się, że wkracza na grunt grząski, z którego nie ma ucieczki. *No, że staram się żyć dobrze* – mówił, patrząc nadal tym samym wzrokiem w ten sam punkt przestrzeni albo odruchowo poprawiając długie włosy wypadające spod brzegu czapki – *nie szkodzić nikomu specjalnie, no, tak po prostu dobrze żyć.*

Wtedy włączał się Bartosz, opierając brodę na zwiniętej w pięść dłoni: *Okej, Kacper, ale powiedz, jakimi wartościami się kierujesz, bo przecież musisz mieć jakiś spójny system, który pozwala ci określić, jak się zachować w danej sytuacji, kiedy tak, a kiedy inaczej i tak dalej.* Kacper budził się z zamyślenia, ale było za późno, bo już nie miał żadnego wyjścia i musiał brnąć: *System, chrześcijański mam system poniekąd, znaczy niezupełnie, bo z niektórymi sprawami się nie zgadzam, na przykład eutanazja czy antykoncepcja, ale tak ogólnie to chrześcijański, a co do wartości, to rodzina* – tu prostował się i spoglądał na nas z triumfem w oczach jak człowiek, który pewny jest, że właśnie odnalazł właściwą drogę wyjścia z beznadziejnej, zdałoby się, sytuacji. *Najważniejsza jest dla mnie rodzina i przede wszystkim chodzi mi o to, żeby mojej rodzinie było dobrze.* Bartosz kiwał głową, udając namysł. *No tak, rodzina, rodzina to jest wielka sprawa, ale, hm, co byś zrobił, gdybyś musiał kogoś skrzywdzić po to, żeby twojej rodzinie było dobrze? Albo, nie wiem, no zrobić coś nieuczciwego, w takim potocznym sensie, bo gdybyś to zrobił, to twoja rodzina zyskałaby coś – to co wtedy?* A wtedy ja podnosiłem w górę palec i z melodyjnym zaśpiewem intonowałem ponure memento, nasze ulubione zdanie z jakiegoś eseju: *Albowiem w obliczu niefortunnej śmierci Boga wszelki wysiłek*

zmierzający do racjonalnego uzasadnienia moralności jest niczym innym jak tylko iście munchausenowską próbą wyciągnięcia się z bagna relatywizmu za własne sznurówki. Kacper zaczynał się denerwować: *No nie wiem, kurczę, zależy od sytuacji, ja nie chcę nikogo krzywdzić, ale to nie da się tak z góry powiedzieć, to wszystko zależy* – i tu z kolei Bartosz podnosił w górę palec, wykrzykując: *Ha! Więc relatywizm! Każda norma zależy od sytuacji, każdą normę tworzy się na poczekaniu!* A ja dobijałem: *A przy tym wszystkim ciągle ma się, oczywiście, poczucie, że jest się dobrym człowiekiem; i to przyjemne uczucie nie opuszcza nas ani na chwilę* – i chórem powtarzaliśmy mantrę: *W obliczu niefortunnej śmierci Boga*... Kacper milknął speszony, przygryzał wargę albo wpatrywał się w paznokcie, starając się wybrnąć w jakikolwiek sposób, po czym machał ręką i mówił: *A chuj, ja i tak myślę, że jestem dobrym człowiekiem*. Tak było, kiedy chodziliśmy na piwo z Kacprem i Bartoszem. A teraz cały naród trząsł się w samozachwycie i powtarzał sobie: *jesteśmy dobrymi, dobrymi ludźmi jesteśmy*).

Trochę jak meczet – pomyślałem, kiedy w czwartek wspinałem się drogą wiodącą do sanktuarium w Łagiewnikach. Sanktuarium

PŁACZĘ PO STRACIE MOJ
EGÓ IDOLA

~KISIEL

ODSZEDŁ NAJŚWIETSZY
Z NAS :(DLACZEGO

~DALOONIA

KAROL WOJTYŁA – OJCIEC
CAŁEJ LUDZKOŚCI

~BEATA

z tej perspektywy było wielkie i jasne, a znad bryły głównej wybijała się w niebo strzelista wieża, przywodząca na myśl minaret. Przystanąłem u góry, niedaleko wieży – przede mną była rozległa przestrzeń, gdzieś w tle majaczyły dachy Krakowa, a bliżej tłoczyły się blaszane hale supermarketów, hipermarketów i multipleksów, jak wszystkie królestwa tego świata. Nieopodal pracował budowlany żuraw, a przez nagie jeszcze drzewa prześwitywała stalowa konstrukcja kolejnej hali, wyrastającej u stóp wzniesienia, wpełzającej podstępnie na zbocze. Bazylika wewnątrz była równie wielka i równie jasna – blask wlewał się przez wysokie witraże i spadał kaskadami na kilku ludzi, klęczących w długich, drewnianych ławach. Zatrzymałem się tuż przy wejściu, jak gdybym nagle uświadomił sobie, że nie wiem, po co tu przyjechałem. Albo jak gdybym uświadomił sobie, że wiem, po co przyjechałem, ale tutaj tego nie znajdę.

A później poszedłem jeszcze dalej – tam, gdzie pasaż handlowy dla pielgrzymów, gdzie plastykowe budy z tysiącem świętych pocztówek-cegiełek na budowę sanktuarium, gdzie stoiska z litaniami i pieśniami w specjalnym

wydaniu na stulecie urodzin siostry Faustyny, gdzie tabliczki z nazwiskami fundatorów i informacją, że zainteresowanych prosi się o kontakt z fundacją: adres, telefon, telefaks, e-mail, NIP; gdzie sklepy z dewocjonaliami i długi krużganek, celujący prosto w wielki znak Coca-Cola, stojący przy budzie za drogą; i gdzie był kantor wymiany walut, na którego ścianie wielkimi literami wypisano: Dewocjonalia, Kantor, Złoto, Srebro, Skup, Sprzedaż, a pod napisem dwumetrowa, drewniana siostra Faustyna przyciskała dłoń lewą do serca, prawą przekazując znak pokoju wszystkim, którzy zdecydowali się na zakup, sprzedaż albo wymianę; na krzyżyk, złoty medalik albo srebrny łańcuszek. I wszedłem do sklepu, żeby kupić różaniec i zawieźć go matce – a w sklepie był papież; ba – było papieży stu, we wszystkich formatach znanych drukarniom, na całej ścianie, a na środku tabliczka, że *towar zakupiony nie podlega zwrotowi*. I słusznie, bo jakże zwrócić papieża, jakże go wymienić na szkaplerz, obrazek czy świętą figurkę? A dalej ta sama siostra Faustyna z drewna tym samym gestem pozdrawiała wszystkich i błogosławiła tym, którzy by zechcieli zabrać ją stąd, wykupić z jasyru za złotych tysiąc dziewięćset czterdzieści i osiem – o dwieście

pięćdziesiąt osiem złotych drożej niżeli kosztował bliźniaczy ojciec Pio, spod drewnianej rękawiczki broczący krwią drewnianą i impregnowaną. Cóż, kiedy drogo; ale już aniołka można było zabrać ze sobą za dziesięć złotych albo piętnaście, w zależności od wykończenia – a takiego ze złamanym skrzydełkiem za symboliczną piątkę, jeżeli się go odnalazło w koszu z napisem przecena, pośród dwóch flag maryjnych, jednej watykańskiej, trzech bombek, skórzanego portfela z motywem zakopiańskim, dwunastu świętych pocztówek i jednej Maryi. A nad tym koszykiem dłoń w górę unosił gigantyczny Jezus z plastiku, dwuipółmetrowy, w powłóczystej szacie, z dłonią złożoną na piersi, z której wystrzelały dwa plastikowe promienie, niebieski z czerwonym. Tym czerwieńszym, że odbitym od ciemnej zieleni obrazu ze Świętą Rodziną, który chroni od zwątpień jesieni.

(Ów listopad przyszedł spodziewanie, już wcześniej się zapowiadał, już w październiku było bardzo ciemno i bardzo deszczowo, a później z każdym kolejnym dniem tylko gorzej. I coraz trudniej było zwlec się rano z łóżka, i umyć się, ubrać i wyjść w tę mokrą jesienność

– i wtedy pomyślałem, że się nawrócę, że jednak rację miał ów ksiądz, który kiedyś, dawno temu, powiedział matce: *Proszę pani, nie można nikogo zmuszać. Jeżeli nie chce chodzić do kościoła, to niech nie chodzi, on i tak jeszcze kiedyś tu wróci, prędzej albo później; ludzie z tak smutnymi oczami wracają zawsze*. Pomyślałem tak któregoś dnia, leżąc rano w łóżku, w półmroku, z wyschniętym gardłem i bólem głowy, a później przypomniałem sobie, że w Sopocie ma być spotkanie, na którym będą Bogumił, Bogusław i Bożydar, trzej najbardziej katoliccy z polskich poetów, i pomyślałem jeszcze, że to nie jest przypadek, i że to musi być ten dzień, skoro tak się złożyło. Wieczorem jechałem podmiejską kolejką, zza mokrych szyb której migały światła Trójmiasta; naprzeciwko mnie chrapał jakiś facet, niedaleko dwie dziewczyny ze śmiechem zwierzały się z pierwszych nocnych przygód, a ja próbowałem sobie wyobrazić, jak to się stanie: że najpierw będą wiersze, później pewnie dyskusja, może lampka wina i wtedy, nagle, coś się rozpadnie, jakaś skorupa, i strzeli jasność i światłość, i odnajdę punkt oparcia, bez którego nie sposób nie tylko poruszyć wszechświata, ale nawet siebie pchnąć na tor inny niż ten, który kreślę niesiony inercją przez knajpy i mieszkania, przez pociągi i pero-

ny, centra handlowe i kina. Dotarłem na miejsce przemoczony, długo przed czasem – i stałem w korytarzu, czytając ogłoszenia, kiedy przyszedł Bogusław, blady z niewyspania i: *O, cześć! Zajebiście, że jesteś* – powiedział. *Jadę prosto z Krakowa, kurwa, co tam się działo, jakieś rozdanie nagród, trzy dni chlania bez przerwy; i taka mała tam była, fajna taka, czarna, aktorka chyba, chociaż nawet nie dopytałem – człowieku, co ona wyprawiała, w życiu jeszcze takiej nie miałem.* I wtedy wszedł Bogumił, więc: *Cześć, wy się chyba jeszcze nie znacie* – powiedział Bogusław – *poznajcie się, Piotr, Bogumił.* Chciałem coś powiedzieć, że czytałem, że niemałe wrażenie, ale nie zdążyłem, bo Bogumił skinął mi tylko głową i zaraz zaśmiał się do Bogusława, poklepując go po plecach, że: *Ha, ha, bracie, nietęgo wyglądasz, popiło się troszkę, co? Ja też, ja też. Stęskniłem się za tobą, bracie, co tam u ciebie, piszesz coś?* I Bogusław, że coś tam pisze, żeby w pociągu czasu nie marnować, ale nie ma kiedy przysiąść jakoś porządniej, bo ciągle coś, tu wyjazd, tam wyjazd, sram wyjazd. Ale już: *Zapraszamy, zapraszamy, witamy szanownych gości* – powiedział ktoś, otwierając zamaszyście drzwi i weszliśmy na salę, a tam bez liku krzeseł i ciasteczka, i do wina szklaneczki. I zaraz nowi przyszli, i witania, uśmiechy, ściskanie dłoni,

tamci stali w kółku, ci, siedząc, gaworzyli, wina siorbali z kieliszków, cmokali, ciumkali; i była ruchów drobnych ruchliwość i gwar, i hałas – i: *Bożydar, witamy, witamy* – zawołał jeden; i zaraz wszedł Bożydar, przywitał się, trochę jakby nieśmiało, a później się uciszyło, Bogusław zza stołu zapowiedział, że teraz wiersze będzie czytał Bożydar i że o Bogu, więc Bożydar skłonił się nieco nieporadnie, odchrząknął – i już czytał, a ja siedziałem w ostatnim rzędzie i myślałem, że w każdym razie jest to szczere. A potem Bożydar skończył, więc *azaliż, czyż nie* – zapytała pani w szynszylach, *czemuż, dlaczegoż* – odpowiedział pan z bródką; i dalejże ciumkania, cmokania, szmery, szelesty, śmiechy perliste, dalejże rozprężenie, wędrowania między salą a korytarzykiem, nakrywanie dłońmi dłoni, gratulowanie, wychwalanie, zapraszanie się. *No to co, to do Spatifu* – powiedział Bogumił, kiedy szynszyle powychodziły, więc poszliśmy, a po drodze jeszcze sklep nocny na Monte Cassino i: *Ja ćwiarteczkę na razie, a wy?* My też po ćwiarteczce i już ogródek Spatifu, i papierosów palenie, i rozmawiania, i dolewania sobie wódeczki do piwka, kiedy nie patrzyła kelnereczka o cudnych oczach, do której Bogusław zaraz: *O której pani kończy?*, a Bogumił: *He, he* i hejże!

– już opowiadał o skreślaniu w wierszach, żeby się żona nie domyśliła, i już pytał Bogusława, czy tamte dwie pamięta, wtedy, na wyjeździe, z którymi taką sobie wycieczkę urządzili samochodem nad morze – a Bożydar z boku nieco i też trochę *hi, hi, hi*, ale już jakby nieszczerze, więc pewnie dlatego zapytałem go później; ale później, kiedy już się przenieśliśmy do góry, gdzie zabawa, gdzie studentki i artyści i gdzie wykrzyczałem do Bogusława: *Wiesz, co jest zajebiste?*, a on mi odkrzyczał: *To, stary, to jest właśnie zajebiste!*; więc Bożydara zapytałem później, kiedy już trochę przygasło i staliśmy w kolejce do kibla; zapytałem: *Słuchaj, a jak ty właściwie na to patrzysz, że wiesz, że oni tak w wierszach i felietonach tacy są, wiesz, a naprawdę to tak, wiesz, inaczej?* On wykrzywił się nieco i powiedział: *Ja nie oceniam, wiesz, mi się to może do końca nie całkiem, niezupełnie podoba, ale ja nie oceniam.* I dalejże w rozmowy, w kolejeczki, w studentki, i dalejże pić piwo przyniesione z zewnątrz we trzech w jednej kabinie, bo taniej, i tak do późna, a o trzeciej przed Spatifem padania sobie w objęcia, w ramiona, poklepywania się serdeczne, pocałunki i: *Do zobaczenia, bywajcie, bywajcie, oby jak najszybciej, oby jeszcze raz, póki młodzi jesteśmy i pókiśmy jeszcze nie umarli.* Po drodze na dworzec potknąłem się

na schodach przed kościołem, później jeszcze rozmawiałem przy budach z jedzeniem z jakimś człowiekiem, który prosto z klubu wybiegł na kebaba w ten prawiemróz jesienny w samych tylko spodniach i spoconym torsem błyszczał absurdalnie, ruszając szczęką tak gwałtownie, jak tylko po pigułach ruszać można. I: *Wiesz, co jest najzajebistsze?* – pytał mnie, a ja już wiedziałem: *To, to właśnie jest zajebiste* – powiedziałem. Więc przybił mi piątkę i: *To i tylko to,* dodał. Kilka dni później słuchałem głosu Bogumiła w jakimś radiu, jak zastanawiał się, czy Miłosz był dobrym katolikiem i dochodził do wniosku, że jednak tak, nawet jeżeli fascynował się Wschodem i podpisywał listy w obronie praw gejów, bo to tylko bzdury; ale poglądy, mówiąc ogólnie, miał całkiem właściwe – słuchałem jego głosu, ale nie mogłem go poznać i trzy razy sprawdzałem w programie, czy to na pewno Bogumił mówi, bo inny był ten głos, niby taki sam, a przecież niepodobny, zupełnie niepodobny).

Wiesz, co tam widzieli moi znajomi? – zapytał Maro, kiedy wieczorem siedziałem w knajpie i opowiadałem mu o tym wszystkim: jak wsiadłem do autobusu i jak jechałem, nie wiedząc

właściwie, po co jadę, i jak piąłem się pod górę, i jak szukałem, a nie znalazłem, i jak później schodziłem w dół, i jak trafiłem na odpustowy jarmark, na którym milion papieży spoglądał na mnie z uśmiechem z breloczków samochodowych, z zapalniczek, popielniczek, z kubków i plakatów, z makatek i kołatek, z zakładek, talerzyków, proporczyków, chorągiewek, otwieraczy do konserw, pudełek, wazoników i z tarczy zegara, odmierzającego czas tak niewzruszenie, jak tylko zegar odmierzać potrafi. *To wszystko nic* – powiedział Maro. *Moi znajomi w zeszłym roku byli w tym pasażu, tam, w centrum pielgrzyma, gdzie są te punkty usługowe, apteki, lekarze, restauracje – i tam były ulotki rozłożone wszędzie, z pytaniem: „czy chcesz podobać się Bogu?" i niżej, drobnym drukiem: „fryzjer osiem złotych".*

I co jeszcze? Co jeszcze? Czy było jeszcze cokolwiek innego, cokolwiek ważnego? Piątek i sobota jak jedna karuzela: na wystawie obrazów w Bunkrze ktoś poodwracał wszystkie obrazy z papieżem płótnami do ściany, wieczorem ktoś – ja? – mówił do kogoś – do mnie? – *Jak myślisz, jak to jest być profesorem etyki, filozofem, i wiedzieć, że ludzie cię kochają, ale nie inaczej, niż ko-*

cha się świętego Mikołaja? Jak to jest pokazywać swoją starość i swoją chorobę, wiedząc, że jesteś jedynym, którego starość i chorobę pokażą, bo muszą – i wiedząc też, że kiedy osłabniesz do reszty, to nic ich nie zatrzyma i urządzą transmisję z twojego umierania? Ktoś przysłał łańcuszek: *Papież urodził się 18.05.1920, suma wszystkich cyfr daje 13, papieża wybrano na konklawe 94 głosami, a 9 + 4 = 13, wybrany został w wieku 58 lat, kolejne 13 – i tak dalej, tak dalej, aż do: Papież żył równo 31 tysięcy dni, gdyby to odwrócić... Nic dodać, nic ująć!* Bo też co dodawać i z czego ujmować? Ktoś napisał znowu, że czuje się oszukany przez kolegium kardynalskie, które zwlekało z otwarciem testamentu, bo chciało mieć dla siebie ciało papieża, a on przecież na pewno chciałby być pochowany tu, w Polsce, w naszym pięknym kraju, niedaleko swoich gór najukochańszych – i teraz wyszła prawda, wyszło szydło z worka, już teraz wiadomo, jacy są kardynałowie, co tylko o sobie myślą, o swojej korzyści. Ktoś, na jakimś forum, że jest oburzony, bo na marszu papieskim w swoim mieście widział całe tłumy studentów z piwem w każdej ręce i śmiechy były, i jakieś zabawy wesołe. A w komentarzach zaraz: *Mówisz o Lublinie*; kto inny, że to Poznań, ktoś jeszcze, że Kraków, wie na pewno, bo sam widział to samo, ale już ktoś, że Rzeszów, jakaś

pani z Gdańska, pan z Katowic, z Warszawy oburzona dziewczyna – i każdy tylko jedno: że hańba, że wstydu nie mają i czemuż, ach czemuż właśnie w jego mieście coś takiego się stało. We Wrocławiu prezydent ogłosił, że przez rok zbuduje papieską bramę w kształcie monumentalnego łuku, w Toruniu pomnik ma stanąć w samym centrum miasta, w Warszawie będzie plac, w Wilanowie sarkofag, w Przemyślu wystawa, w Radomiu graffiti, w Podlaskiem szlak kamienny, w Wadowicach pomnik z kamienia lub brązu; w Krakowie będzie kopiec, *największy, jaki w tym kraju widziano* – a w każdym innym mieście ulica, aleja, park, plac albo szpital. Ktoś powiedział, że jeszcze się przekonam, co znaczy pokolenie, za rok, pięć, dekadę, że ci młodzi ludzie zbudują nową Polskę, nowy świat zbudują, choćby im przyszło pracować gołymi rękami; ktoś rozsyłał maile, że w piątek o dwudziestej pierwszej minut trzydzieści i siedem cała Polska zgasi dla papieża światło – a jakiś energetyk w radiowej audycji powiedział, że jak dobrze pójdzie, to cała Polska zgaśnie na kilka miesięcy, bo sieć nie wytrzyma tej nadwyżki mocy. Ale wytrzymała, chociaż na Oruni i na Mokotowie, na Pogórzu i Szmelcie, na łódzkich Bałutach i gdyńskiej Chyloni chodzili po osiedlach chłop-

cy i krzyczeli: *Zgaś to światło, flecie, bo szyby polecą*, a w Gdańsku, na Przymorzu, ktoś zepsuł transformator i osiedle całe zgasło, bez jednego krzyku, zgodnie i na długo. Ktoś z kimś się pokłócił o szkło zebrane z ulic, czterdzieści ton zniczy. Ten chciał stawiać pomnik, tamten instalację, były listy otwarte, wyjaśnienia, protest. Ktoś donosił z Warszawy, że na marszu kibiców szli chłopcy i krzyczeli: *Chuj w dupę dla każdego, kto nie szanuje Ojca Świętego*, ktoś inny, że nieprawda. Którejś z tamtych nocy kupowałem hot doga w budzie, w której po lewej stronie było zdjęcie kebabu wołowego za sześć złotych, po prawej – zapiekanki za cztery pięćdziesiąt, a pomiędzy nimi był papież z żałobną przepaską. A później był pogrzeb i wiatr wiał – i zamknął Pismo Święte, i potargał szaty kardynałom, i znów ktoś napisał, że to sam Duch Święty ucieleśnił się pod postacią wiatru i zamknął księgę w taki właśnie sposób, żeby można ją było otworzyć na nowo. Kto inny się obruszył, że nie można tak zaraz we wszystkim doszukiwać się znaków. I zaraz mu odpowiedzieli, że musi mieć najwyraźniej bardzo smutne życie, i że mu współczują tego jego życia, że żona go zdradza, dzieci nie kochają, a on sam jest na pewno bezrobotny. I nie ma wykształcenia. A Zbigniew Boniek po-

wiedział, że zdjęcie papieża powinno się znaleźć na polskiej fladze.

I nie było nadziei dla Jana Pawła Drugiego.

Wreszcie nadeszła ta niedziela, chłodna i nieprzyjemna. Na stadionie Cracovii, stadionie imienia Jana Pawła II, tym samym stadionie, na którym kibice krakowskich klubów padli sobie w ramiona przed kilkoma dniami, zaczynał się mecz pojednania: Cracovia Kraków – Legia Warszawa; i stały tysięczne rzesze kibiców, którzy dziś mieli dać świadectwo. Opowiedział mi o tym człowiek, który pracuje w gazecie sportowej, opowiedział mi, jak stali naprzeciwko siebie i jak na znak dany odśpiewali polski hymn, a później: *Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród*, i jeszcze: *Pan kiedyś stanął nad brzegiem, szukał ludzi gotowych pójść za nim*, ulubioną pieśń papieża – i tężały ich głosy, nabrzmiewały wzruszeniem, i rosło w powietrzu napięcie. A potem z czterech rogów boiska wypuszczono cztery białe gołębie na znak pokoju i wiecznej od dzisiaj przyjaźni. I w niejednym oku błysnęła łza, niewielka, męska łza. A później sierotka z domu dziecka

wolnym, uroczystym krokiem wzdłuż białej linii poszła ku środkowi boiska, ku samemu centrum – i w tym centrum stanęła, żeby wypuścić gołębia ostatniego, największego i najbielszego ze wszystkich, aby oznajmił pax maximum et infinitum ziemi i niebiosom, zwierzętom i ludziom, aby zaniósł przesłanie pokoju kibicom wszystkich klubów, aby zakończył bratobójcze waśnie, aby swym lotem podniebnym położył kres wyciąganiu z autobusów i ustawkom ze sprzętem; i aby łopot jego skrzydeł rozlegał się wszędzie tam, gdzie jeszcze przed tygodniem słychać było ciężkie uderzenia pięści, przekleństwa jednych i jęki drugich; wszędzie tam, gdzie szare chodniki czerwieniały wciąż od kibicowskiej krwi, przelewanej w świętych wojnach o honor klubu; i aby sprawił swoją czystą bielą gołębią, że kibic Arki przeprowadzi przez ulicę babcię kibica Lechii, że kibic Pogoni pomoże nieść ciężkie zakupy matce kibica Lecha, a siostra kibica z Wrocławia będzie mogła kochać bez obaw kibica z Warszawy. I stanęła sierotka na samiusieńkim środku boiska – i wśród wielkiej ciszy wyrzuciła w górę białego gołębia. I kto wie, jak potoczyłyby się losy świata, gdyby gołąb wzleciał ku niebiosom; ale zamiast tego zawisł tylko w powietrzu na krótki moment, jak

każda rzecz rzucona w górę, po czym rąbnął z impetem o murawę: był bowiem gołębiem martwym, gołębiem sztywnym, gołębiem, który wyciągnął kopyta, kopnął w kalendarz i zwyczajnie zdechł gdzieś po drodze, zgnieciony przez sierotkę albo może przez ciężar odpowiedzialności. I wielka cisza nagle zabrzmiała, stała się głośniejsza niż ryk trąb spiżowych, a potem zaczęła się napierdalanka na cztery fajerki. Dwie godziny później Frytka chował się za zasłoną w swoim mieszkaniu, obserwując z podziwem doskonałą taktykę polskiej policji, która najpierw rozbijała tłum zmasowanym natarciem armatek wodnych, a później niedobitki siekła gumowymi kulami, wprowadzając ład i porządek metodami sprawdzonymi w niejednym boju. Kto wie zresztą, może to właśnie przez nich, niewiernych, którzy na mecz pojednania przybyli w opancerzonych wozach i z bronią u pasa – może to przez nich tak bardzo się nie udało?

Wkrótce potem spadł deszcz, chłodny, kwietniowy. I padał przez godzinę, albo może dłużej – i zgasił znicze, i świeczki, i miasto całe zgasił; tak, że kiedy zza chmur wyszło nieśmia-

ło, wysunęło się słońce, wszystko było już inne. Mokre były ulice, mokre chodniki i mokre były mury, a z mokrych, ciemnych murów sterczały mokre drzewce, a z mokrych drzewców zwisały smętnie mokre, sklejone flagi, jak martwe ptaki przywiązane do gałęzi. Wszystko to widziałem z okna samochodu, którym jechaliśmy na obiad u Martyny i Mara, przez niemal puste ulice, przez mosty, place, przez mokry, bury Kraków, otrząsający się teraz z wody, jak otrząsają się brzydkie, stare psy.

Po obiedzie rozmawialiśmy przez chwilę o czymś nieważnym, a później nikt niczego już nie mówił i staliśmy tylko przy oknie, w milczeniu paląc papierosy. Przypomniałem sobie zajęcia ze wstępu do filozofii – omawialiśmy jakiś esej, z którego wynikało, że podstawą każdego dyskursu jest wspólny kontekst kulturowy. Powiedziałem wtedy, że od kilku lat przebywam wśród ludzi współtworzących polską kulturę, tworzących pewien jej wycinek – i że tak naprawdę nie ma żadnego dyskursu, a tylko niezobowiązujące rozmowy. *To ja panu współczuję w takim razie* – powiedziała magister B. – *bo ja ze znajomymi nieustannie o kulturze rozmawiam.* Wtedy

właśnie sobie to przypomniałem, kiedy staliśmy przy tym oknie, paląc papierosy: Dorota, znana polska pisarka; Kazik, poeta i krytyk, współpracujący z popularnym miesięcznikiem; Maro, redaktor jednego z najważniejszych czasopism poświęconych nowej kulturze; Martyna, współkierująca nową dynamiczną oficyną wydawniczą. I ja. I była cisza. Papież już umarł i był już pogrzeb, i brakowało jakiegokolwiek innego tematu, który można by rzucić jak koło ratunkowe. Każdy popatrywał tylko to na papierosa, to na Kraków za oknem, to na własne dłonie. Byle nie spojrzeć na innych. I tak przez całe minuty. Wreszcie Maro chrząknął i powiedział: *Napisz o tym.* Powiedział: *Minipowieść napisz, z jakimiś elementami eseju, fabuły, może dokument albo reportaż. Zresztą: cokolwiek napisz, co tam sobie chcesz. Napisz, jak przyjeżdżasz do Krakowa i papież umiera, i że jesteś w obcym mieście, i jak to się wszystko dzieje, i o tych Niemcach napisz, jak oni się dziwią. Napisz o tym koniecznie, bo z takiej książki można zrobić niezłe wydarzenie.* Patrzałem długo przez okno, na to ciemne, zmęczone niebo, a później było mi już wszystko jedno i powiedziałem: *Dobra, napiszę.* Wtedy Dorota powiedziała: *Tylko pamiętaj: nie pisz w pierwszej osobie, bo nikomu nie wytłumaczysz później, że to nie ty i że jak*

pierwsza osoba, to wcale nie musi być od razu to nazwisko z okładki. Powiedziałem: *I chuj, niech sobie każdy interpretuje, jak umie i niech sobie myśli, co chce, byle tylko myślał*. A wieczorem usiadłem przy biurku, włączyłem komputer i napisałem: *To wszystko zaczyna się na dzień przed moimi dwudziestymi czwartymi urodzinami*. I właśnie wtedy zadzwoniła Ola, o której trochę zapomniałem przez te dni, która gdzieś się tam zgubiła po drodze. Zadzwoniła Ola, powiedziałem: *Halo* – i przez chwilę cisza. A później ona powiedziała: *Wiesz, w sprawie tego dziecka, to jego nie będzie. Słyszysz? Nie będzie go.*

[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]
[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]
[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]
[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]
[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]
[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]
[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]
[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]
[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]
[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]
[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]
[*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*][*]